

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki

Do Petersburga

25 czerwca 1916 r. pociąg z rekrutami do Gwardyjskiego Siemianowskiego Pułku ruszył w drogę. Zamiast pożywienia codziennie otrzymywaliśmy po 32 kopiejki strawnego na życie w czasie podróży. Po 38-dniowym pobycie pożegnaliśmy Orsk z jego przyjemnościami. Stepy ustępowały rzadkim małym krzewom, a te polom uprawnym. Od Buzuluku zaczynają się lasy, wsie rosyjskie i miasteczka z domami krytymi zieloną blachą. Pomędzy Samurą a Syzranem powoli pociąg wjechał na most, wysoko przerzucony nad Wołgą, o długości 650 sążni [sążeń rosyjski = 2,133 m]. Przy moście na torze kolejowym pracowali robotnicy, przeważnie kobiety i chłopcy. W tych okolicach mieszkają Mordwini. Kobiety noszą krótkie i wysokie spódnice z białego, własnoręcznie tkanego płótna ozdobionego różnymi czerwonymi tasiemkami. Nogi owinięte takim samym płótnem, w łapciach przytroczonych do nogi czerwonymi wstążkami. Głowy nakrywają kolorowymi chustkami, spod których na czole wystają różne świecidełka. 28 czerwca zjedliśmy obiad na stacji kolejowej w Rozarówce, a dwa dni później w Riazaniu. 1 lipca okólną drogą mineliśmy Moskwę, a dwa dni później wysiedliśmy w Piotrogradzie (4 VII). W ciągu podróży żywiliśmy się skąpo, bo te 32 kopiejki nie wystarczały na codzienne utrzymanie przy wysokich cenach produktów. Np. funt [1 funt – ok. 0,5 kg] chleba kosztował 12 kopiejek, funt cukru 60 kopiejek, funt wędzonej kiełbasy 1,2 rubla. Kipiatok (gorącą wodę) na herbatę czerpaliśmy na stacji za darmo.

Petersburg położony jest przy ujściu Newy do Zatoki Fińskiej. Miasto przecinają liczne kanały, przez które przerzucone są artystycznie zbudowane mosty. Grunt jest podmokły, dlatego wiele pięknych domów zbudowano na solidnych dębowych palach. Kanałami krążą kajaki, gustownie urządzone łodzie dla amatorów wodnych wycieczek. Nad brzegami zatoki, jezior i rzek zbudowano liczne bulwary (prospekty) dla spacerujących. Rekrutów umieściliśmy w koszarach. Na razie z tymi rekrutami nie urządzano ćwiczeń, gdyż kadra oficerska i podoficerska była zajęta dokończeniem ćwiczeń żołnierzy mających udać się na front. Wszyscy żołnierze są bardzo wysokiego wzrostu, gdyż ten pułk był otoczony specjalną troską, jako pułk reprezentacyjny, do którego kierowano specjalnie dobraną młodzież z całej Rosji. Marsze odbywają wolno, krocząc dużymi krokami. Umundurowani dostаточно, jednolicie. Żołnierze w całości wyglądają wyśmienicie (na froncie łatwo będzie wrogowi [trafić] w takie duże postacie). Przy rekrutach zostawiliśmy kilku naszych żołnierzy dla utrzymania porządku i doprowadzenia ich do punktu żywnościowego na obiad i kolację. Sami gromadnie (ok. 12 osób) ruszyliśmy oglądać stolicę. Najpierw ruszyliśmy bulwarem nad rzekę Nową – krótką, wypływającą z jeziora Ładoga. Później obejrzelśmy Senat, Synod, Pałac Zimowy, gdzie mieszka rodzina cara (car jest w Głównej

Kwaterze przy niemieckim froncie). Kilka godzin byliśmy w ZOO. Tu na małej powierzchni znajduje się dużo zwierząt egzotycznych (słonie, żyrafy, hipopotamy, kolczatki australijskie, małpy, węże – boa dusiciel, okularnik itp., oraz fauna krajowa: niedźwiedzie, wilki, rysie, żbiki, orły itp.). Zwierzęta te są ścieśnione w klatkach, bez wybiegu i środowiska naturalnego. Dłuższy czas poświęciłem oglądaniu słoni. Oto dwa dorodne słonie w klatce żelaznej. Obok handlarka z warzywami i gromada turystów, którzy kupują warzywa, dają słoniom i obserwują jak sobie słoń pomaga swoją trąbą. Podchodzi panienka do słonia i kładzie przed nim banknot 20-kopiejkowy. Słoń trąbą zabiera banknot i przez otwór między kratkami podaje go przekupce, która w zamian daje słoniowi pęczek marchwi. Ludzie buchnęli śmiechem, podziwiając zalety handlowe słonia. Za tym przykładem idą inni, ledwo słoń nadaża przeprowadzić transakcję i zjeść kupiony towar, a już ma przed sobą nowy banknot itd. Podobne historie dzieją się przy klatce z małpami.

Następnego dnia idziemy dalej zwiedzać miasto. Tu musieliśmy się podzielić na mniejsze grupki 2–4 żołnierzy, gdyż przejeżdżając bezpłatnie tramwajem natrafialiśmy na trudności przy wsiadaniu dużą grupą jednocześnie, a zostawić nikogo nie mogliśmy w obawie zbłąkania żołnierza w dużym nieznanym mieście. Mnie interesowały instytucje kulturalno-oświatowe. Zwiedziłem ze swoją grupką muzeum Piotra Wielkiego, muzeum Aleksandra II, gdzie oglądaliśmy francuskie sztandary z wojny napoleońskiej, Ermitaż z galerią obrazów szkoły flamandzkiej, francuskiej, włoskiej i niderlandzkiej. Były tam obrazy pochodzące z Azji, Ameryki i Australii. Są tam zgromadzone rzeźby sławnych artystów świata. Następnego dnia obejrzelśmy z zewnątrz twierdzę Pietropawłowską, w której był przez pewien czas T. Kościuszko z Niemcewiczem. Na okręcie [płynącym] Nową obejrzelśmy twierdzę Kronsztad, położoną na wyspie między jeziorem Ładoga a zatoką Fińską. Do środka nie chcieli nas wpuścić. Mielśmy zamiar zwiedzić Ludowy Dom, gdzie również są obrazy i rzeźby. Na czas wojny ten Dom [jest] zamknięty. Skorzystaliśmy z okazji i obejrzelśmy sztuczną górę, na której szczyt można za 20 kopiejek wjechać zębatą kolejką.

W ostatnim dniu sam się wybrałem na zwiedzanie osobliwości miasta. Zajrzałem do kilku cerkwi w stylu bizantyjskim i do soboru św. Izaaka, który zbudowany jest w stylu zachodnioeuropejskim, np. jest tam jedna główna i długa nawa przecięta 2 nawami w postaci katolickiego krzyża. Wieże też są takie, jak w kościołach katolickich. Obszedłem dookoła Pałac Administracji zbudowany według planu architekta włoskiego, a dokończony przez architekta rosyjskiego. Natknąłem się również na kościół rzymskokatolicki św. Katarzyny, gdzie czasowo był pochowany ostatni nasz król Stanisław August Poniatowski. Tutaj dłużej się zatrzymałem

i gorąco pomodliłem, aby nikt więcej z Polski nie tułał się po obcej ziemi.

Wracając do koszar, zwróciłem uwagę na szyld przed sklepem i okna wystawowe. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu przeczytałem napis po rosyjsku: „Polskiej Książnicy magazyn – Księgarnia Polska” (dosłownie). Wszedłem do środka jak księgarz rozmawiał po polsku z subiektem. Zwróciłem się po polsku, czy mogę kupić „Kurier Nowy”. Księgarz przytaknął i podał mi polską gazetę. Następnie pytam czy można kupić kilka numerów wcześniej wydanych. Kupiłem 6 egzemplarzy z całego tygodnia. Księgarz podając mi gazety uśmiechnął się i mówi: „Pewnie pan nie czytał polskiej gazety?”. Odpowiedziałem, że pełnię służbę wojskową w Orenburgu, a polskiej gazety od przeszło 2 lat nie miałem w ręku. Następnie zapytałem, czy mogę jeszcze kupić *Pana Tadeusza*. Księgarz odwrócił się do półki i podał mi nowy egzemplarz żądanej książki. Zapytałem o cenę. Książka kosztowała 95 kopiejek. Otworzyłem portmonetkę i znalazłem w niej 73 kopiejki. Księgarz wręczył mi książkę i powiedział, że to mi daje bezpłatnie na pamiątkę pobytu w Piotrogradzie. Książkę przyjąłem z podziękowaniem, na jakie mnie było stać. Uszczęśliwiony wróciłem do koszar z pękiem polskich gazet i arcydziełem Mickiewicza. Odjeżdżając po kilku miesiącach, podarowałem go memu koledze Polakowi. Wychodząc z Ermitażu, spotkałem grupę Polaków obojga płci rozmawiających po polsku. Nie chcąc im przeszkadzać i przeciskać się między nimi, na chwilę zatrzymałem się przed schodami, aby ich przepuścić do Sali Ermitażu. Na podeście stał odzwierny Rosjanin, który zwrócił się do mnie: „Ich wszędzie pełno, oni nic tylko cokajut da cokajut”. Drażniła go polska mowa, ich obecność i używanie wyrazu „co”.

Do Moskwy

9 lipca wieczorem opuściliśmy koszarzy Gwardyjskiego Siemianowskiego Pułku w Piotrogradzie i przybyliśmy na dworzec kolejowy Mikołajowski. Tu zastaliśmy bardzo dużo ludzi cywilnych i żołnierzy. Spóźniliśmy się na pociąg zdążający do Moskwy. Proporszczyk Nielepa stracił orientację, stanął bezradnie, co ma dalej robić? W końcu wsiedliśmy do pociągu żołnierskiego. Stojąc w przejściach, ruszyliśmy w dalszą podróż. Atmosfera żołnierska, żarty, dowcipy niefrasobliwych żołnierzy, towarzyszyła nam w czasie jazdy. Po upływie 2 godzin musieliśmy w Twerze przejść się do innego pociągu trzeciej klasy, zdążającego przez Riazan do Moskwy, do której dotarliśmy 10 lipca rano. Ponieważ nasz pociąg miał ruszyć dalej wieczorem, więc cały dzień obróciliśmy na zwiedzanie dawnej stolicy carów – Moskwy. Pierwsze kroki skierowaliśmy w stronę Kremla, który otoczony jest wysokimi murami. Na dziedzińcu obejrzelśmy dużą Car Puskę („car armata”) z czasów wojny szwedzko-rosyjskiej. Tu obok leżało kilkanaście okrągłych ołowianych kul do tej starej armaty, a następnie Car Kołokoł („car dzwon”) wysoki na około 6 m, ze szczyrbą, którą można wejść swobodnie do środka dzwonu, pamiętający czasy Iwana Groźnego. Do środka, do komnat wejście było wzbronione. Następnie zwiedzaliśmy zabytkową cerkiew Błogosławionego Wasyla. Zachowało się jeszcze trochę

starych miejskich drewnianych domów ochraniających przez konserwatorów. Z powodu krótkiego czasu nie szukaliśmy innych historycznych zabytków.

Moskwa w owym czasie była sennym, spokojnym miastem rozłożonym nad rzeką Moskwą. W porównaniu z Piotrogradem nie cieszyła się ani popularnością, ani czystością ulic. Z Rizańskiego dworca kolejowego, pasażerskim pociągiem w III klasie, wieczorem 10 lipca ruszyliśmy w drogę. Pociąg jechał rażno, na stacjach zatrzymywał się krótko, aby z uderzeniem trzeciego dzwonka na budynku stacyjnym ruszyć dalej. Następnego dnia dotarliśmy do Wołgi. Na kilkanaście metrów przed mostem pociąg zatrzymał bieg do tego stopnia, aby żołnierze pełniący służbę po obu stronach rzeki mogli po dwóch wejść do każdego wagonu pociągu. Jeden od drzwi przednich, drugi od tylnych, zbliżali się do środka wagonów i wygłaszali do pasażerów słowa: „Po ukazu Jego Impieratora Wieliczesstwa dwieri i okna zakrytii” (Według nakazu Jego Imperatorskiej Majestatyeczności drzwi i okna zamykać). Jeden żołnierz zatrzymał się w jednej połowie wagonu, a drugi w drugiej połowie wagonu, bacząc, czy ktoś na moście nie wyrzuci jakiejś paczki. Pociąg wolniutko, majestatycznie przejechał na drugi brzeg i żołnierze wysiedli, aby towarzyszyć innemu pociągowi i innym pasażerom. Niezależnie od tej ochrony dniem i nocą przed i pod, i za mostem krążyły łodzie z żołnierzami. Ochrona tego mostu w czasie wojny była konieczna. Uszkodzenie mostu spowodowałoby zerwanie łączności Azji z Europą. Dalsza podróż odbywała się normalnie bez żadnych niespodzianek i zakłóceń. Tak więc podróż z Piotrogradu do Orenburga trwała 5 dni.

Znów w Orenburgu

Po 60 dniach „wojazu” 29 lipca 1916 r. znaleźliśmy się znów w Orenburgu. W pierwszych dniach po powrocie czułem się jakoś dziwnie, nieswojo. W czasie mojej delegacji komendę nad moją drużyną objął młodszy podoficer Szyrokow. Na ćwiczenia kompania wyruszyła w nowym składzie. Ja zostałem bez przydziału, samotnie powlokłem się na tyle kompanii. Zaszła również zmiana na stanowisku dowódcy kompanii. Poprzedni dowódca sztabkapitan Leonow został oddelegowany do dowództwa batalionu, a dowództwo 7. kompanii objął proporszczyk Demczenko, Ukrainiec (chachoł). Dowództwo plutonu objął po Nasaczonie podchorąży przybyły z frontu. Czułem się jakbym był tu już niepotrzebny – pachniało to frontem. Po przeglądzie żołnierzy ze starszych roczników pułkownik Kirsonow był bardzo niezadowolony, zarządził mordercze ćwiczenia w dzień i w nocy. Po tygodniowej gonitwie dowódca brygady przysłał swojego pomocnika pułkownika Strzeleckiego; przeprowadził on kontrolę, która wykazała, że 131. kompania jest już dobrze przygotowana do wyjazdu na front. Ja jeszcze zostałem, a nie wyjechało jeszcze z Orenburga 9 marszowych kompanii.

Sprawy gospodarcze

W sierpniowe niedziele część kompanii (pluton) była kierowana na roboty: rwanie tataraku na maty, robienie

mat. Po zakończonej robocie i odprowadzeniu żołnierzy do namiotów spotkałem się ze Stańczykiem z Puław, czytaliśmy wspólnie *Pana Tadeusza*, którego przeczytaliśmy w dwie niedziele.

23 sierpnia dwa plutony wybrały się z nożami celem nacięcia róży czyliگی (gałązki uralskich krzewów). Zaledwie przeszliśmy około 2 wiorsty [1 wiorsta – ok. 1,06 km], gdy zaczął siąpić deszczyk, a potem zaczął się rześisty duży deszcz. Zmuszeni byliśmy wrócić po odbyciu ok. 8 km drogi. Po dwóch dniach pogoda się poprawiła. Od samego rana słońce zaczęło mocno przygrzewać. Dowódca kompanii zarządził wymarsz całej kompanii po czyliگی. Forsownym marszem dotarliśmy do lasu. Tyralierą posuwaliśmy się w głąb leśnej gęstwiny. Jedni żołnierze trafili na poszukiwane krzaki i zaczęli zrzucać różgi, a inni posuwali się dalej w poszukiwaniu różg. Znalazłem z kilkoma żołnierzami dobre stanowisko. Zabraliśmy się równo do roboty, która niestety nie trwała długo, gdyż niebo się zachmurzyło i zaczął padać deszcz, rześisty deszcz. Zabraliśmy wyciętą czyliگی i na sygnał trąbki sygnalisty zebraliśmy się w leśniczówce. W pośpiechu złożyliśmy różgi na jeden stos i pobiegliśmy do chaty leśniczego, zbudowanej z chrustu oblepionego gliną, a nakrytej dachem z siana. Niedługo cieszyliśmy się tym schronieniem, bo siano przemokło i woda zaczęła początkowo pojedynczymi kroplami kapać po kątach, a potem lała się strumieniami na całą powierzchnię lepianki. Na dworze zaś padał teraz mały deszczyk, więc wyszliśmy na wolne powietrze. Kilku żołnierzy obrało kartofle, wypłukali, zasypali jaglaną kaszą i zalali wodą. W tym czasie z wielkim trudem kilku żołnierzy rozpalilo ognisko pod gęstą leszczyną. Przez dwa rosochate paliki przerzucili drążek, na którym zawiesili dwa wiadra nad ogniskiem. Z powodu wilgoci ogień dawał mały płomień, więc gotowanie się przeciągnęło. Żołnierze głodni, przemoczeni, niecierpliwie czekając na ten obiad, łazili po podwórzu ogrodzonym chrustem, zaglądali do komórek z chrustu i gliny. To denerwuje leśniczego. Chciałby się nas szybko pozbyć. Zupa się zagotowała, ale kartofle i kasza jeszcze jest niedogotowana. Po kilkunastu minutach rozlaliśmy do kociołków, wyciągnęli drewniane okrągłe łyżki z za cholewy buta i przystąpili do biesiady, zakąszając razowym przypalonym chlebem.

Ruszyliśmy w stronę naszego obozu. Po drodze spotkaliśmy stanicę (chutory) kozackie. Po kilku żołnierzy wstępowało do tych stanic, ale chleba nie zdobyli. Trafiliśmy na jeden chutor, który wyglądał dobrze. Zbudowany z okrągłaków, w oknach były czyste szyby, wejście przez ganek, którego dach blaszany pomalowany na kolor zielony oparty był na dwóch ładnych heblowanych słupkach. Tu mieszkał przed wojną ceuł kozacki. Razem z naszym oficerem wybraliśmy się do tego domu. Na ganku zetknęliśmy się ze starym (ok. 70 lat) Kozakiem. Zapytaliśmy czy pozwoli nam wejść do środka. Z ociąganiem się wyraził zgodę. W mieszkaniu czysto, [podłoga] malowana olejną farbą (ciemny orzech), w rogu ikona, przed którą pali się światło. Pośrodku pokoju stół nakryty obrusem. Proporszczyk wytłumaczył cel naszej wizyty. Kozak w szerokich, czarnych, z niebieskimi lampasami, spodniach. W starym mundurze, wojskowej

czapce, z której wymykały się pasma siwych włosów, zgodził się nam dać bochenek chleba z pszennej mąki. Na zapytanie o cenę powiedział, że to daje darmo, bo on jako stary żołnierz zna życie wojskowe. Sam brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej, a teraz ma na wojnie dwóch synów, od których już od kilku miesięcy nie otrzymuje listów. Może i oni od kogoś potrzebują pomocy. Być może, że i jego powołają jeszcze na służbę. Konia ma dobrego wypróbowanego, mundur wisi w szafie, szabla (wskazał na ścianę) też gotowa.

Przed wieczorem pogoda się ustaliła. Następnego dnia jesteśmy znów w lesie. Teraz teren już dobrze znamy. Zabraliśmy się do roboty ochoczo. Po kilku godzinach wycięliśmy całe stopy czyliگی. Zaczęliśmy ją znosić do leśniczówki. Niosę duży pęk róży, w pewnej chwili pomiędzy krzakami coś gwałtownie wyskoczyło spod wykrotu. Popatrzyłem w tę stronę, lecz niczego podejrzanego nie zauważyłem. Zaledwie zdążyłem zrobić kilkadziesiąt kroków, nagle od przodu na moje spotkanie wyskoczył wilk, przebiegł w odległości 10–15 kroków, kłapiąc zębami. Oblediał mnie strach. Ciągnę wiązki po ziemi i rozglądam się na wszystkie strony. Teraz z drugiego boku przebiegł wilk, ale już w mniejszej odległości. Zacząłem wołać na żołnierzy idących z tyłu za mną. Przystanąłem, zrównałem się z nimi i pytam czy czegoś nie słyszeli i nie widzieli. Oni oznajmili, że słyszeli z kniej skoki. Podzieliłem się swoim spostrzeżeniem. Do leśniczówki doszliśmy spokojnie. Leśniczy nam opowiedział o swoich spotkaniach z wilkami. Przed wybuchem wojny często polowali na wilki, obecnie nie ma mężczyzn, więc wilki się rozmnożyły i stały się rozzuchwalone. Radził nam, aby pojedynczo nie zapuszczać się daleko w las, bo o przygodę bardzo łatwo.

Zaraz po południu zaczęliśmy się zbierać do odejścia. Zapytaliśmy czy nie ma czasem krótkiej drogi do miasta. On nam odpowiedział, że jest, ale trzeba się przeprawić na drugą stronę Urala. Ułatwił nam drogę, zorganizował przeprawę przez rzekę na łodziach. Przewoźnik musiał kilka razy przepływać Ural w poprzek rzeki, zabierając każdorazowo kilkunastu żołnierzy. Przed wieczorem byliśmy już w obozie. Po wieczornym apelu dowódca kompanii wyznaczył mnie i 4 żołnierzy do zwiezienia czyliگی na wołach do składu w mieście. Wczesnym rankiem wyruszyliśmy dwoma wozami po materiał do leśniczówki, załadowaliśmy wozy i wzdłuż rzeki ruszyliśmy do miasta. Po drodze co kilkadziesiąt kroków spotykaliśmy wiatraki, ale o znacznie mniejszych skrzydłach, za to o prędkich obrotach. Te wiatraki pompują wodę z rzeki, albo ze studni i wylewają do koryt zbitych z desek. Od głównego koryta rozgałęziają się w mniejsze i jeszcze mniejsze. Woda płynie nieszczelnymi korytami, korytkami i rowkami, nawadnia ziemię, a ta wypoczęta i użyźniona starymi przegniłymi trawami rodzi bogate plony w ogródkach warzywnych. Pięknie wyrastają dynie, arbuzy, melony, ogórki i inne. Te warzywa na miejscu można kupować w dużych ilościach za becen, natomiast chleba, cukru, mąki, nafty, soli bardzo trudno zdobyć. Mężczyźni na wojnie, w domu zostały kobiety, dzieci i niedołążni starzy ludzie. Nie ma kto uprawiać pól i zbierać zboża na chleb.

*Wybrał i do druku przygotował
Tadeusz Surdacki*

Aleksander Goliński

Z opowiadań Franciszka Gruchalskiego, szwagra mego, ur. w Urzędowie 1860 r.

O objawieniu św. Otylii słyszał od Brzozowskiego – stolarza i malarza, mówił to samo, co i drudzy, że obraz czy posąg św. Otylii cudownie przynoszony był z kaplicy murowanej nad źródła (na wierzbę). Wierzba ta istniała na źródłisku jeszcze około 1900 r., od kaplicy ku północnemu zachodowi.

Święta nie chciała być na dzierzkowickiej ziemi, lecz tylko na urzędowskiej (święta komuś miała to oświadczyć). Wtedy obraz świętej przeniesiono z kaplicy, chyba nad wodą, do kościoła urzędowskiego. Dlaczego chodzą urzędowanie do dzisiaj do kaplicy św. Otylii w Wielki Czwartek o 12 godzinie, Gruchalski nie wie. Od Brzozowskiego słyszał, że urzędowanie wracając w świętą Wielkanoc z kaplicy św. Otylii „biczowali” na drodze idących do kaplicy. Miało się to odbywać głównie na ścieżce od św. Elżbiety do św. Otylii.

Przy kaplicy był domek. Ostatni mieszkał tam Nieczas. Co robił, nie wiadomo. Ślady tego domu są do dzisiaj – 1939 r. [Przy drodze] do Dzierzkowic była drewniana karczma z sienią przejezdną na wylot. Mieszkało tam 3–4 garncarzy, którzy robili garnki dla Żydków Icka. Wypalano je 2 razy w piecu, ślady którego do dzisiaj są za stodołą gajowego. Garnki te jako krakowskie sprzedawał Icek w Lublinie.

Na odpusty przybywało ludzi więcej niż ostatnio przed wojną światową (1914–1918). Kompanii było wiele około 1890 r. Kaplica św. Otylii nad wodą była mocno podniszczona. Powstaniec z 1863 r. Antoni Wiącek „bez palców”, ponieważ kozak obciął mu 3 palce u prawej ręki w bitwie pod Fajslawicami, zebrał ofiary wśród urzędowian i z gruntu poprawił kaplicę. Pale wbito nowe, dębowe, takie dano przyciesia, obito ze dworu deskami, pokryto blachą i pomalowano wewnątrz i zewnątrz. Umocniono brzeg nad źródłem. Było to w roku 1896, o czym wiadomość na zewnątrz kaplicy pod dachem.

Po 1830 r., a może przed, babcia moja i żony szwagra Gruchalskiego opowiadała, że ojciec jej czy kto inny wybrał się z pieniędzmi kupić zboża, lecz po paru – kilku dniach wrócił, rzucił pieniądze na stół, mówiąc do domowników: „jedzcie”. Babcia i inni starsi skarżyli się na wojska i rządy polskie przed 1830 r. i po nim.

Rok 1836

Ojciec szwagra mego Konstanty Gruchalski mieszkał na Mikuszewskim koło Romana Gruchalskiego, brata swego z innej matki – szpiegował dla Polaków w 1863 r. Syn Franciszek ma pamiętać ojca z czasów powstania. Nosił płaszcz mieszczkański urzędowski z granatowego sukna z dużą peleryną. Opasywał się długim szerokim pasem, 2 razy okręcał go i szablę stale miał przy sobie. Do domu wpadał 1–2 razy na tydzień. W domu ojca

szwagra parę miesięcy ukrywał się Pyzik z Kraśnika, ojciec znanej mi Piotrowej Grabowskiej. Mieszkał on na przedmieściu Piaskach obok samych koszar rosyjskich w Kraśniku, pobudowanych w 1895 r. od strony Urzędowa. Zwykle chodził Pyzik do domu, a gdy coś groziło (strażnik, żandarm, kozacy), to miał swoją kryjówkę na powale nad piecem przy kominie. Wejście było z izby: w powale wyrżnięte były deski. Otwór ten był zakładany kawałkami tylko desek. W końcu ojciec szwagra znalazł się na Zamku Lubelskim. Szwagier pamięta, że z matką odwiedzał ojca na Zamku. Na dużej sali było wielu więzionych powstańców. Konstanty Gruchalski w końcu był zwolniony dzięki zabiegom Franciszka Żyszkiewiczza – urzędnika w guberni a brata rodzzonego dziadka szwagra i Leopolda ze strony matki. Franciszek miał dom, kupił go w Rynku nr 170, który zapisał Lubelskiemu Towarzystwu Dobroczynności.

Z notatek A. Golińskiego

Spisałem z opowiadań siostry mojej Franciszki Gruchalskiej, ur. w 186? r., gospodyni w Urzędowie. Babcia Golińska i babcia dalsza z Bęczyna – Tomaszowa Żyszkiewiczowa, mówiły, że św. Otylia objawić się miała pastuszkom nad źródłem, tam gdzie dzisiaj jest kaplica tej świętej. Było to na gruncie należącym niegdyś do wójta Urzędowa, a w XVI w. włączonym do królewskiej Urzędów do starostwa. Pastuchy mieli źródła obsadzić wierzbami, których gałęzie korony były pochylone ze wszystkich stron ku kaplicy pobudowanej na źródle. Z czasem dla jakiegoś powodu urzędowanie pobudowali za dzisiejszym cmentarzem grzebalnym, na górze przy drodze z Urzędowa do Dzierzkowic, kapliczkę murowaną, gdzie umieścili obraz czy też statuę św. Otylii. Podobno urzędowianom nie podobało się miejsce na kaplicę nad wodą. Inaczej jednak sądziła tę sprawę św. Otylia, gdyż po trzykrotnym umieszczeniu jej obrazu czy posągu trzy razy objawiała się nad źródłem. Wtedy urzędowanie zaprzestali swoich zamiarów i utrzymywać tam nad wodą kaplicy św. Otylii. Św. Otylia miała we śnie komuś powiedzieć, że nie chce być na dzierzkowskim (urząd starościński był w Dzierzkowicach), lecz na urzędowskim. Z tego powodu obraz z kapliczki murowanej czy drewnianej został przeniesiony do kościoła urzędowskiego i umieszczony w wielkim ołtarzu. Ten sam ma być do dzisiaj. Obraz był uszkodzony w czasie pożaru kościoła w roku 1755, lecz w czasie gruntownego odnawiania kościoła był i ten obraz (1880?) naprawiony. Obraz ten posiadał wota w postaci drogiego kamieni. Jeden z nich oceniano w 1880 r. na 20 tys. rubli, jak opowiadał ojciec Gruchalskiej i mówił Józef Goliński, członek restauracji kościoła. W dawnych czasach wielu ludzi miało doznać

wielu uzdrowień za przyczyną św. Otylii, chociaż była patronką od bólu oczu. Te same osoby opowiadały, że w czasie pożaru kościoła spaliło się do 2 fur szczudeł i kul kalek.

W dziecięcych latach – mówił Gruchalski – na odpust św. Otylii (drugi dzień Zielonych Świąt) przybywało ludzi o wiele więcej niż w latach przed wojną. Już w sobotę przybywali pojedynczo i grupkami, a w niedzielę na wieczór ściągali kompanie z różnych stron: z Opoła, Bełżyc, Zakrzówka, Batorza, Zaklikowa, Annapola i Józefowa.

W sam dzień odpustu, jak tylko zaczęło dzień, kompanie ze śpiewem od miasta szły do kaplicy nad wodą. W kaplicy pomodliwszy się i złożwszy ofiarę na tacę,



Kapliczka św. Otylii w latach 50. XX w.

i ucałowawszy pasyjkę, w podstawie której za szkłem była postać św. Otylii, pobożni nabierali sobie wodę do dzbanuszków i butelek, a także pili ją. Dzbanuszki zatykano zielenią rosnącą na tuż [obok] położonych źródłach. Najwięcej zrywano bobownika. Wodę zabierano do domu, jako skuteczną od bólu oczu i głowy. Oprócz tego przy kaplicy bardzo wielu pątników myło sobie oczy, nogi, a matki – małe dzieci.

Do kaplicy w ciągu całego roku przychodzą ludzie z dalszych okolic, aby pomodlić się przed posągami świętej i wziąć wodę do domu. Przed wojną z Lublina przybyła do kaplicy pewna matka z córką chorą na oczy. Wróciwszy do domu owa chora otrzymała zdrowie, a matka jej jako dar dla św. Otylii za uzdrowienie za jej przyczyną córki przysłała do kaplicy biały obraz ze szlakiem.

Sami urzędowianie mało chodzili do kaplicy św. Otylii w Zielone Świątki, ale w święta Wielkanocne każdy prawie uważał to za obowiązek. Wtedy to chłopcy do woli używali śmigusa w drugi dzień świąt. Wtedy mało chodziło do kaplicy dziewcząt. Nierzadko „śmigusiki” dobrze pobili się. Zaczepnością odznaczali się chłopaki z Bęczyna. Do oblewania używano toczonych, drewnianych sikawek, tzw. skarbówek, lub domowej roboty z sosny

i bzu czarnego. W ostatnich latach można było widzieć sikawki ręczne blaszane, lecz i one, jak i drewniane ustąpiły miejsca butelkom. Sikawki „skarbowe” musieli mieć niektórzy gospodarze dla obrony przeciwpożarnej (inni mieli bosaki wyznaczone). Te sikawki pamiętam i ja. Mam lat 59.

Od Redakcji: Prezentowany tekst, w formie ulotnych, luźnych zapisów, autorstwa Aleksandra Golińskiego (1879–1938), urzędowskiego patrioty, społecznika, regionalisty i człowieka kultury, pozornie wydaje się przypadkowy i mało istotny. W istocie jest on znakomitym przyczynkiem oraz ważnym źródłem do poznania wielu aspektów historii Urzędowa, życia społecznego i codziennego

jego mieszkańców, obyczajów, a także genealogii i koligacji rodzinnych. Składa się z dwóch części, z której jedna jest zapisem zasłyszanych od krewnych i członków rodziny opowieści, często o charakterze prawdziwych faktów, niekiedy też przekazywanych z pokolenia na pokolenie wieści, a nawet legend. Znaleźć w niej można unikatowe opisy dotyczące garncarzy, odpustów czy epizodów powstańczych. Fakt, że A. Goliński zapisał opowiadane słowa, zachowując przy tym

oryginalny styl, język i gwarę używaną przez świadków wydarzeń, świadczy o jego wielkiej wrażliwości i intuicji historycznej, która pozwala ocalić od zapomnienia minioną przeszłość. Fragmenty te nie pozbawione są nieścisłości faktograficzno-merytorycznych, lecz dla zachowania sugestywności i realności relacji nie dokonywano w niej żadnych korekt. Druga część to relacja Aleksandra, zredagowana już bardziej wytwornym stylem, człowieka światłego, a przez to bardzo wiarygodnego. Szczególnie cenne są jego opisy zwyczajów świątecznych, zabaw i rozrywek ludności urzędowskiej z przełomu XIX i XX wieku, koncentrujące się w dużym stopniu wokół św. Otylii i jej kultu. Relacja A. Golińskiego jest tym bardziej cenna, że została spisana w ostatnim momencie jego życia, w wieku 59 lat, a więc w roku jego przedwczesnej śmierci. Być może to intuicja i przeczucie nadchodzącego kresu życia dały mu impuls do udokumentowania i zarejestrowania na piśmie ulotnej historii umiłowanej ziemi urzędowskiej. Wykazał w ten sposób wielką odpowiedzialność, sporządzając swego rodzaju testament, który możemy czytać dzisiaj, i dzięki naszej publikacji będą to mogły robić następne pokolenia.

Marian Surdacki

Kazimierz Cieśliski

Stosunki wodne Urzędowa na przestrzeni dziejów

Autor pracy niniejszej nie jest hydrologiem. Widząc jednak, jakiej przemianie ulega środowisko przyrodnicze Urzędowa – jego miasteczka rodzinnego na przestrzeni ostatnich 50 lat – w pracy tej chce przedstawić czytelnikowi jak to wyglądało w czasach jego dzieciństwa, jak wygląda obecnie i co się da odszukać na temat – jak to wyglądało kiedyś. A wszystko po to, by uzmysłwić czytelnikowi, że nic nie jest stałe. Wszystko ulega przemianie, wskazane jest byśmy zdawali sobie z tego sprawę. Byśmy wcześniej przeciwdziałali tym przemianom, które zmierzają ku gorszemu.

Szczególne znaczenie ma to teraz, gdy na naszych oczach następują szalone zmiany w krajobrazie spowodowane urbanizacją, uprzemysłowieniem. Skażenie środowiska następuje coraz większe, a o pitną wodę w niektórych rejonach kraju coraz trudniej.

Urzędów – posadowiony na marglach liasowych, zwanych tu potocznie opoką – nigdy nie cierpiał na brak dobrej wody, ale nie znaczy to, że tak będzie zawsze. I druga rzecz to jakość wody. Liczne źródła wypływające spod zboczy doliny rzeki Urzędówki dają bardzo smaczną wodę. Ale ocenić to można dopiero wtedy, gdy się jest daleko od Urzędowa. „Niczego wam nie zazdroścę – miałem zawsze rodzinie, gdy przyjechałem z Warszawy do Urzędowa – ale wody to wam zazdroścę”. Stwierdzenie to jest spowodowane nie tylko patriotyzmem lokalnym piszącego te słowa.

W jednym z warszawskich zakładów pracy, gdzie pracowałem 30 lat – otrzymaliśmy do picia wodę mineralną. Wodę z różnych uzdrowisk w kraju: z Ciechoćka, z Kołobrzegu, z Nałęczowa, z Augustowa i innych. Mnie najbardziej smakowała „Nałęczowianka”. No, ale tu można by powiedzieć, że to woda moich lat młodszych. Nałęczów jest odległy od Urzędowa w prostej linii ok. 25 km. I też jest posadowiony na marglach. Ale mam wielu kolegów w tymże zakładzie pochodzących z różnych rejonów kraju i ich nie można posądzić o patriotyzm lokalny urzędowski. Oni również twierdzili, że najsmaczniejsza woda to woda z Nałęczowa.

Czasy najdawniejsze

Okolice Urzędowa jest dosyć urozmaicona. Podłoże stanowi margiel liasowy. Na marglu posadowiona jest warstwa lessu (glinki nawiane) różnej grubości, od jednego nawet do kilkunastu metrów. Są nieliczne miejsca występowania piasków, ale są też miejsca jak np. w tak zwanych kątach, to znaczy w miejscu styku lasu dzierzkowickiego z kraśnickim, gdzie gleba uprawna stanowi ciekawą warstwę, zaś nieco poniżej jest już „calizna” marglu.

Jak wszędzie, tak i w Urzędowie warunki klimatyczne, jak woda, wiatr i mroz kształtowały teren. Charaktery-

zuje się on znaczną różnicą wysokości względnej, tworząc odrębną krainę geologiczną, którą geologowie nazywają Wysoczyzną Urzędowską lub Płaskowyżem Urzędowskim [właściwa nazwa to Wzniesienia Urzędowskie – przyp. red.]. Wyniosłości te w rejonie Urzędowa sięgają 900 m nad poziom morza. W rejonie Urzędowa wyniosłość ta przecięta jest szeroką na 1 km doliną, którą ze wschodu na zachód płynie rzeka Urzędówka. Nazwa rzeki jest urobiona od nazwy miasteczka, przez które rzeka przepływa, Urzędów–Urzędówka. Aczkolwiek w źródłach (*Słownik geograficzny Królestwa Polskiego* z 1890 r.) występuje również nazwa Suka. Rzeka ta bierze swój początek za Wilkołazem. Cały swój bieg, ok. 15 km, przepływa w kierunku zachodnim przez wsie: Wilkołaz, Ostrów, Popkowice, Skorczyce, dalej przez Urzędów do Dzierzkowic, gdzie za wsią wpada do Wyżnicy. W rejonie Urzędowa przed melioracją jej głębokość w niektórych miejscach dochodziła do 1 m, a szerokość do 5 m. Było kilka miejsc nadających się do kąpieli i młodzież korzystała z nich. Rzeka ta przed wojną była bardzo czysta. Będąc chłopcem, przy pomocy tzw. podrywki łowiłem w niej kielbiki, a w rejonie mlecza spody kamieni wyjmowałem piskorze.

Zbocza doliny rzeki Urzędówki poprzecinane są licznymi wąwozami usytuowanymi poprzecznie w stosunku do biegu rzeki. Wąwozy te noszą różne nazwy, jak: Dół Nawożny, Dół Wierzbicki (od wsi Wierzbica, koło której przebiega), Dół Piorunowy itd. Podczas wiosennych roztopów czy po większych deszczach wąwozami tymi i teraz spływa woda przeważnie do rzeki Urzędówki.

Miasteczko Urzędów jest usytuowane wzdłuż rzeki na przestrzeni ok. 5 km. Sama dolina została uformowana w głównej mierze przez wody prarzeki, która przed wiekami płynęła całą jej szerokością. A że tak było, miałem możliwość stwierdzić naocznie przed wielu laty, gdy jeszcze mieszkałem w Urzędowie. Na łąkach na wprost cmentarza przy końcu ulicy Wodnej podczas kopania rowów melioracyjnych (na niewielką wówczas skalę) rów biegnący poprzecznie w stosunku do płynącej rzeki wykazywał na całej swej długości w głębszych warstwach torfu grubą warstwę, niemalże ławice, drobnych okruchów magła wypłukanego ze zboczy doliny i naniesionego przez wody prarzeki, płynącej całą szerokością doliny.

Poziom wody gruntowej w różnych czasach był inny. Ogólnie trzeba stwierdzić, że poziom ten stale ulegał i ulega na naszych oczach obniżeniu. Aczkolwiek czasem archeolodzy podczas prowadzenia wykopalisk ze zdumieniem stwierdzają, że było akurat odwrotnie. Pierwotnie poziom wód gruntowych był niższy. Ale to są raczej sporadyczne przypadki. Przeważnie wszędzie w Polsce poziom wód gruntowych w przeszłości był dużo wyższy. Potem w ciągu wieków ulegał obniżeniu.

Jaka jest tego przyczyna? Pierwszą i zasadniczą jest wycinanie lasów. Las – naturalna ostoja wód gruntowych w grubej warstwie mchów, które niczym gąbka magazynują wodę, by w miarę upływu czasu, pod wpływem podwyższającej się temperatury otoczenia powoli tracić wodę, która wsiąka w glebę, przesiąka do głębi ziemi do źródeł, zasilając okoliczne strumyki. W lesie są tzw. oczka wodne w zagłębieniach terenu, bagienka, a wszystko to magazynuje wodę i ponownie ją oddaje. Gdy lasy są wycięte – brak tej izolacyjnej gąbki powoduje szybsze spłynięcie wód na wiosnę, gdy stają się śniegi lub po większych deszczach, skutkuje osuszeniem gleby. Proces ten aktualnie występuje w Poznańskim, które stepowieje, to znaczy występują tam zjawiska charakterystyczne dla stepu, jak suche wiatry powodujące wysuszenie gleby.



Młyn Masiaka

Drugą przyczyną, również ważną, są melioracje. Melioracja dobrze przeprowadzona jest błogosławieństwem. Ale wykonana źle, nie będąca pod stałą kontrolą powoduje tylko skutki ujemne w postaci suszy. Rzeka, która przez wieki meandrowała przez okoliczne łąki, tworząc zakola, rozlewiska, była zbiornikiem wodnym dla okolicy. Zasiłala ją w wodę w porze suchej, była terenem zasiedlenia dużej ilości ptactwa wodnego, ryb. Powodowała, że klimat był bardziej wilgotny. Wskutek melioracji meandry rzeczne zostają wyprostowane, z rzeki robi się kanał, którym woda szybko spływa na niższe tereny, powodując susze oraz ubożąc okoliczną florę i faunę.

Melioracja polega nie tylko na spuszczeniu wody ze zbiorników, bagien, ale i zatrzymanie jej w okresie suszy. A o tym się nieraz zapomina. Wędrowałem kiedyś po Polsce wschodniej jako turysta. I często widziałem obraz: upał, susze. Środkiem łąki sączy się niewielki strumyk – ale nikomu do głowy nie przyjdzie zatrzymać tę wodę, zrobić niewielką zastawkę, podwyższyć poziom wody na łące.

Dużą rolę w kształtowaniu stosunków wodnych w okolicy odgrywają młyny wodne. Ich zbiorniki wodne, stawy, oddziałują dodatnio na okolicę. Niestety

jesteśmy teraz świadkami wzmożonej likwidacji młynów wodnych, likwidacji stawów przy nich i dalszego osuszania łąk.

A skutki tej działalności są już widoczne. Coraz częściej słyszy się w prasie, radio czy telewizji, że w takiej to a takiej okolicy całe wsie, całe dzielnice miast pozabawione są wody.

Obserwujemy również w kraju odwrotne zjawisko – budowanie zbiorników retencyjnych. Spełniają one różnorodną rolę: podniesienia poziomu wód gruntowych w okolicy, służą jako ośrodki rekreacyjne dla ludności, dla hodowli ryb. Często również budowane są tu siłownie poruszane siłą kinetyczną wody wzbogacające okolicę w tanią energię elektryczną. Niepoślednią również rolę pełnią zbiorniki retencyjne podczas wiosennych roztopów, przyboru wód w rzekach grożących zatopieniem okolicy. Magazynują wodę w okresie jej nadmiaru, by ją powoli oddawać w okresie suszy. Ale zbiorników takich jest w kraju za mało w stosunku do potrzeb.

Czasy historyczne

Pierwszą i zresztą jedyną wiadomością dotyczącą stosunków wodnych Urzędowa już w czasach nowożytnych jest relacja francuskiego podróżnika po Polsce w połowie XVI wieku Aleksandra Gwagnina. Uczony ten w 1578 r. jeżdżąc po Polsce był między innymi w Urzędowie, który tak opisuje w swojej *Kronice sarmacji europejskiej*: „miasto drzewiane położone nad jeziorem”. „Jeziorem” tym był duży staw rozciągający się od obecnej mleczarni w górę rzeki do młyna Masiaka. Szerokość jego obejmowała całą szerokość doliny, zaś długość, sądząc po wysokości grobli, która przed wojną była dużo wyższa niż obecnie –

w początkowej fazie woda mogła sięgać w pobliże obecnego młyna Masiaka. Potem stopniowo w miarę zamulania lustro wody cofało się w dół rzeki. Staw ten nosił nazwę Stawu Królewskiego. Niewątpliwie był zarybiony, bo do końca XVIII wieku istniał w Urzędowie oddzielny cech rybacki, który dostarczał pożywienia miejscowej ludności. Nad stawem stał młyn w miejscu, gdzie w okresie międzywojennym kładka przechodziła przez rzekę. Nosił on również nazwę Młyna Królewskiego. Wtedy też jedyną pozostałością stawu był potężny nasyp, grobla przecinająca całą dolinę rzeki w poprzek, od brzegu do brzegu. Po drugiej wojnie światowej grobla ta została zniwelowana.

Pamiętam z dzieciństwa, jak mój sąsiad w Urzędowie z ulicy 3 Maja, starszy człowiek, Józef Kuśmiderski miał łąkę przy grobli za mleczarnią. Zawsze mawiał: Trzeba iść na „STAWISKO” łąkę kosić. To znaczy, że stawu już nie było, ale w ustach starszych ludzi jako pamiątka tych czasów pozostało „Stawisko”.

Nic więcej nie da się powiedzieć na temat dawnego nawodnienia w Urzędowie. Śladów i w terenie, i w źródłach historycznych brak.

Może by tu jeszcze dodać nazwę głównej ulicy w Urzędowie, biegnącej od Rynku do cmentarza grzebalnego

i dalej do kaplicy św. Otylii. Stara nazwa tej ulicy brzmi: ul. Wodna. Z tą nazwą różnie bywało. W okresie międzywojennym nosiła ona nazwę ul. Piłsudskiego. Ale w ustach mieszkańców Urzędowa czy w okresie międzywojennym, a tym bardziej za okupacji niemieckiej, zawsze pozostawała ulicą Wodną.

Skąd wzięła się ta nazwa? Trudno to stanowczo stwierdzić, ale podejrzewam, że nazwa pochodzi od studni, których kiedyś było na ul. Wodnej aż trzy, oraz od źródła w połowie jej długości w rejonie zamieszkania Mariana Kuśmiderskiego. Kiedyś wykonanie studni było trudne i kosztowne. Nie każdy mógł sobie pozwolić. A skoro na tej ulicy było ich aż trzy i jeszcze źródła – być może, że nazwę jej urobiono od wody, której na tej ulicy było pod dostatkiem. Studnie te pamiętam z dzieciństwa. Jedna była na posesji Marka Surdackiego, początkowo żuraw, potem kołowrót. Druga u Aleksandra Golińskiego, słynna z tego, że w 1915 r. tu Piłsudski spotkał się z Błażem Dzikowskim, działaczem niepodległościowym. Ta studnia jeszcze istnieje, choć jest nieużywana. Trzecia studnia, żuraw, była na posesji Wojtuszkiewiczów obok cmentarza grzebalnego.

Okres międzywojenny 1913–1939

Następnymi wiadomościami dotyczącymi nawodnienia w Urzędowie będą relacje starszych ludzi, które słyszałem w dzieciństwie, jak i własne obserwacje z młodych lat. Dla porządku jednak zacznijmy od górnego biegu rzeki, od wsi Skorczyce łączącej się z Urzędowem.

Na styku przedmieścia Góry i wsi Skorczyce stał młyn wodny, budynek drewniany, niewielki o jednym kole nasiębiernym. Przed młynem był niewielkich rozmiarów staw. Nad tym stawem rosła niegdyś topola Mikołaja Reja, którą widziałem w dzieciństwie. Ostatnim młynarzem, właścicielem owego młyna, był niejaki Jan Ciuryłowski. Młyn ten podczas okupacji niemieckiej został rozebrany, a woda ze stawu spuszczone. Obecnie teren stawu to pole uprawne obsadzone częściowo malinami. Rzeka, skurczona do rozmiarów dużego strumienia, przepływa obok dawnego stawu i płynie dalej wąskim, wartkim korytem między przedmieściem Góry a Zakoscielnym. Poziom wody w rzece jest niski, skutkiem czego łąki są wysokie i suche. Około 0,5 km poniżej rzeka Urzędówka podnosi stopniowo lustro wody, by w rejonie zamieszkania Błażeja Dzikowskiego (niegdyś) tworzyć już niewielkie mokradła. Była tam już sadzawka B. Dzikowskiego.

Poniżej, przy szosie łączącej Urzędów z wsią Skorczyce była góra z kamiennym krzyżem na szczycie, otoczonym starymi drzewami. U jej podnóża było obfite źródło, dające smaczną czystą wodę. Do tego źródła okoliczni rolnicy pędzili trzodę chlewną do wodopoju, kobiety prały bieliznę. W roku 1962 podczas przeprowadzanej komasacji

gruntów w Urzędowie górę tę przydzielono nowemu właścicielowi (dotąd była niczyja), który ową górę zniwelował, zrobił z niej dobrą posesję pod zabudowę, ale źródło zostało zasypane. Było to powodem sporów między nowym właścicielem a okolicznymi mieszkańcami. Nawet w prasie warszawskiej spotkałem artykuł na ten temat pod tytułem *Źródło niezgody*.

Kilkaset metrów poniżej rzeka przechodziła w staw młyna Masiaków. Był tam staw znacznych rozmiarów, ale płytki. Młyn był dużą budowlą drewnianą z mурowaną podbudówką przeznaczoną na maszynownię. Kiedyś młyn ten poruszany był siłą kinetyczną wody, a dodatkowo przy pomocy maszyny napędzanej ropą. Budowla ta stoi do dziś, a maszyny w tej chwili poruszane są energią elektryczną. Będąc dzieckiem, chodziłem do pierwszych klas szkoły podstawowej na przedmieściu Rankowskie. Były to lata 1932–1933. Pamiętam, wiosną podczas wylewu wód w rejonie młyna Masiaka złapano wielką płaską rybę. Widziałem ją jak leżała w balii do prania. Ogon jej wystawał z jednej strony balii, a łeb z drugiej. Jak rozmawiali starsi, ryba ta przywędrowała tu aż z Wisły. Jakie więc głębokie wody musiały być w rzekach, by ryba tej wielkości przywędrowała pod prąd od Wisły do Urzędowa.

Następnym stawem był, ale w dalekiej przeszłości, omawiany powyżej tzw. Staw Królewski. Był to największy ze stawów młyńskich, nazywany przez Gwagnina jeziorem.

U podnóża grobli Stawu Królewskiego, za mleczarnią, w okresie międzywojennym był cały szereg źródeł



Młyn Adolfa Pomykalskiego

wypływających z podnóża góry. Woda z nich tworzyła pokaźny strumień, w którym spod kamieni wyjmowałem niewielkie tłuste rybki o nazwie piskorze. Źródła te kiedyś nosiły nazwę „stoków”. Każde ze źródeł było obramowane belkami tworzącymi prostokąt. Obramowanie to wykonali poszczególni mieszkańcy Urzędowa, uważając obramowane przez siebie źródło za swoje. Według słów mojej mamy podobno mój ojciec też kiedyś wykonał taką obudowę jednego źródła i nasza rodzina była właścicielem jednego takiego „stoku”. Tu kobiety przychodziły prać

bieliznę (nawet zimą), a szcęk kijanek było słycać od rana do wieczora. Po II wojnie światowej w niewielkiej odległości od tych źródeł została usypana mała grobla. Woda zalała źródła, podnosząc lustro wody, i utworzył się mały zbiornik wodny dla celów przeciwpożarowych.

Ok. 200 m niżej, obok posesji Tadeusza Więckowskiego pod górę, zachowało się do dziś źródło. Nie obramowane niczym, nie konserwowane, bije nadal. Kiedy tylko byłem w Urzędowie w pobliżu Domu Ludowego – zawsze chodziłem do tego źródła i piłem wodę. Jak dotąd, woda w nim była i jest smaczna.

Na wysokości Rynku od strony przedmieścia Mikuszewskiego za czasów mojej młodości były oczka wodne,



Młyn Lamenta

tw. belki lub puniki, w których łowiłem ryby z kolegami. Wokoło rozciągała się podmokła łąka. W pobliżu grobli, przy kapliczce św. Jana, gdzie obecnie stoi stodoła Pomykalskiego, młynarza, rozciągało się jedno bagnisko. Pan Pomykalski je osuszył, częściowo nawiózł ziemi i zbudował stodołę. Łąkę w głębi zmeliorował.

W północnej stronie ul. Kilińskiego, w miejscu jej styku z bagnami, było kiedyś źródło. Z czasem uległo zasypaniu. Dalej na mokradłach też było źródło. Okoliczni mieszkańcy założyli kręgi i mieli studnię ze smaczną wodą.

W miejscu, gdzie asfaltowa droga biegnąca z Urzędowa na Warszawę przecinała rzekę Urzędówkę, stoi młyn Adolfa Pomykalskiego. Jest to duża, solidna budowla z drewna. Urządzenia młyna poruszane są turbiną wodną, jak również w miarę potrzeby energią elektryczną. I co najważniejsze, młyn ten jest czynny do dziś. Przed młynem stoi staw. Nie jest on szeroki, ale posiada znaczną głębokość i długość. Przy ul. Żabiej, obok posesji Kochańskiego, na mokradłach było źródło. Ale woda z niego była mętna, bagienna.

Jak mi kiedyś opowiadali starzy ludzie, było kiedyś źródło aż u styku ulicy Różnych z ulicą Wodną, wchodząc w Wodną, po lewej stronie kanału. Źródło to z czasem zostało zasypane. Jak pamiętam, po prawej stronie

kanału, obok posesji Rolli, woda sączyła się spod góry. Na zapleczu ul. Kilińskiego w dole były źródła, których woda strumykiem spływała do Urzędówki. Idąc dalej ul. Wodną, na łąkach p. Dzikowskiego, przed posesją obecnej szkoły zbiorowej, w dole był niewielki stawek, który z czasem został zamulony.

Od strony przedmieścia Mikuszewskiego z tychże bagenek, belków i puników wypływa strumień, przecina groblę św. Jana i po przepłynięciu ok. 0,5 km wpada poniżej młyna Lamenta do rzeki Urzędówki. Od strony południowej, od ul. Wodnej w rejonie zamieszkania Mariana Kuśmiderskiego, następnych kilka źródeł wyrzeźbiło sobie wąwóz, którym woda spływa ku rzece. Dalej następuje wąski staw młyna Lamenta, który miele zboże do dziś przy pomocy siły wodnej. Jest również podłączony do energii elektrycznej.

Południowy brzeg doliny rzeki dalej na przestrzeni ok. 0,5 km jest bez źródeł. Ale pod samym lasem są silne źródła przy kapliczce św. Otylii. W okresie międzywojennym teren niżej położony, za kapliczką, był cały zalany. Woda ze źródeł przy kapliczce św. Otylii jest bardzo smaczna i, co jest charakterystyczne, trzymana w naczyniu przez dłuższy czas nie psuje się. Widocznie ma jakieś właściwości fizyczne, jakiś skład chemiczny nie pozwalający na psucie się. Woda ta w okolicy Urzędowa uważana jest za leczniczą, za uświęconą. Aktualnie istniejąca kapliczka św. Otylii została zbudowana w 1890 r., jak mówi napis widniejący na jej frontonie. Czy przed tą datą była tam budowla wcześniejsza – źródło milczy.

Wiemy tylko, że za aktualnie używanym cmentarzem grzebalnym na wzgórkach stała kiedyś kaplica, częściowo murowana, częściowo drewniana, pod wezwaniem św. Otylii. Została jednak rozebrana w końcu XVIII wieku. A obraz św. Otylii został przeniesiony do kościoła parafialnego. Tak więc historia tej kaplicy nie ma związku z kapliczką pod źródłami.

Po II wojnie światowej teren poniżej kapliczki został odwodniony rowami, skutkiem czego już i te źródła są mniej obfite w wodę, która strumieniem jest odprowadzana do rzeki.

Woda ze źródła spod kapliczki św. Otylii jest bardzo smaczna, jest lecznicza. Ale czy tak będzie dalej? Kierunek spływu tych wód pod ziemią jest z południa na północ. A na południowym wschodzie w stosunku do tych źródeł mamy posadowiony Kraśnik Fabryczny – duże osiedle miejskie. Wszelkie nieczystości jakie „produkuje” takie osiedle wsiąkają w glebę, przenikają w głębsze warstwy ziemi, by szczelinami w marglu przedostać się do urzędowskich źródeł. Nie wiem jak wygląda sprawa oczyszczalni ścieków. Kiedyś, było to napisane, przez kilka lat nieczystości płynne były po prostu zlewane w obniżeniu terenu w lesie przy granicy z urzędowskimi polami. Śmiem podejrzewać, że za ileś tysięcy lat woda w źródle przy kapliczce św. Otylii przestanie być i smacz-

na, i lecznicza, i „cudowna”. To są następstwa wkroczenia techniki i urbanizacji w rejon Urzędowa.

Jadąc asfaltem z Urzędowa do Dzierzkowic, tuż przed początkiem lasu jest obniżenie terenu. Jest tu obecnie rów i mostek, po obu stronach mostku rozpościera się łąka. Pamiętam, kiedyś po lewej stronie od mostku było jedno rozlewisko wody podchodzące aż do zabudowań leśniczówki. Jak słyszę, ojcowie miasta planują właśnie w obniżeniu terenu po lewej stronie szosy asfaltowej



Młyn Michalczaka

biegnącej z Urzędowa do Dzierzkowic zbudować zbiornik wodny jako miejsce do rekreacji i wypoczynku ludności z Kraśnika Fabrycznego. Oczyma duszy widzę już ten zbiornik, te tłumy samochodów, kłęby spalin i kurzu, te stosy odpadów po wczasowiczach. Tę piękną bujną zielenią połamaną, zniszczoną. O ojcowie miasta! Jeśli macie litość nad Urzędowem, nad jego nieskażoną przyrodą, nie czyńcie tego!

Uwaga! Jak się ostatnio dowiedziałem – skutkiem starań ks. proboszcza Aleksandra Bacy – sprawa budowy ośrodka rekreacyjnego w rejonie kapliczki św. Otylii upadła.

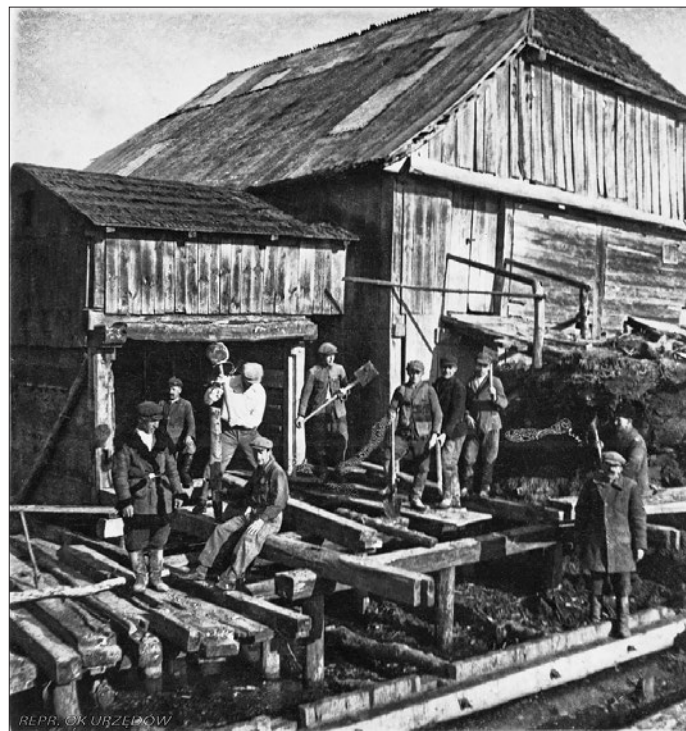
W pobliżu kapliczki św. Otylii rozciągały się stawy koło młyna Michalczaka z bogatą roślinnością i wielką ilością ptactwa wodnego. Obecnie – woda ze stawu spuszczone, stawów nie ma. Młyn Michalczaka była to niewielka budowla drewniana, posiadająca mały, ale dość głęboki staw. Młyn ten po ostatniej wojnie został rozebrany, stawy zlikwidowano. Od strony przedmieścia Bęczyn występują niewielkie mokradła, z których woda strumieniem jest odprowadzana do rzeki Urzędówki poniżej dawnego młyna Michalczaka.

Ostatnim młynem w Urzędowie położonym w najniższym poziomie rzeki w pobliżu lasu na przedmieściu Bęczyn jest młyn Chęcińskiego. Jest to budowla drewniana średniej wielkości napędzana energią wodną oraz w miarę potrzeby energią elektryczną. Młyn ten był jeszcze czynny po wyzwoleniu. Po śmierci właściciela (zginął w czasie wojny) młyn stopniowo zmieniał się w ruinę. Obecnie nieczynny. W okresie działalności młyna istniało

przed nim niewielkie spiętrzenie wody w niedużym, ale głębokim stawie. Obecnie woda została spuszczone.

Na granicy administracyjnej Urzędowa, w miejscu, gdzie kończy się przedmieście Bęczyn a zaczyna las dzierzkowski, rzeka Urzędówka w ciągu wieków utworzyła ogromne bagna, bajora, w miejscowej gwarze zwane Bajóry. Bagna te zajmowały obszar od jednej ściany lasów od południa przez całą szerokość doliny rzeki do ściany lasów od północy. Zaś długość ich ciągnie się od końca przedmieścia Bęczyn aż pod wieś Chruślanki Józefowskie. Był to istny raj dla ptactwa wodnego, dla drobniejszych zwierząt, dla ryb, o bardzo bujnej roślinności. Gdy, mieszkając w Urzędowie, w rejonie Rynku wiosną wieczorem stanąłem przed domem na górcie, od strony zachodniej, od Bajór, dochodził do mnie olbrzymi chór żabiego rechotu. A mieszkalem w odległości około 3 km od tych łąk i bagien.

Jak więc widzimy, wody rzeki Urzędówki przepływające przez Urzędów na całej swej długości były zatrzymywane w szeregu większych lub mniejszych stawów przy młynach, stawów rybnych, bagienek, bełków, puników, mokradel i strumieni. Wszystko to powodowało wielką wilgotność łąk, większą wilgotność pól uprawnych. Na polach obniżenia terenu wypełnione były wodą lub były to bagna. Miejsca te były zwane przez miejscową ludność „smugami”. Występowały one na



Robotnicy przy młynie Michalczaka

polach na południe od miasteczka w rejonie ul. Wodnej i na północ od niego na polach przedmieścia Rankowskiego i Mikuszewskiego. Dziś owe „smugi” już wyschły.

Moja mama mi opowiadała, że za czasów jej dzieciństwa (były to pierwsze lata XX w.), na południe od miasteczka w miejscu styku pól urzędowskich z lasem – dawniej „ordynackim” – w rejonie pola Kiebaśińskich było źródło. Źródło to z czasem dzieci pasące krowy zasypały kamieniami i źródło przestało istnieć.

Wracając do rzeki Urzędówki, trzeba stwierdzić jedno: ani w górę rzeki poza Urzędowem, ani poniżej Urzędowa za Bęczynem takiego zagęszczenia młynów jak w Urzędowie nie było. Myślę, że jest to wynik dawnego zasiedlenia terenu, dużego zagęszczenia ludności. Na całej też prawie długości rzeki, szczególnie w południowej stronie doliny, często występowały źródła. Źródła, zwane „stokami”, były obfitsze w wodę. Rzecz charakterystyczna: po obu stronach doliny rzeki Urzędówki spod gleby ornej wysiadała woda na łąkę, tworząc większe i mniejsze mokradła. Jeśli



Młyn Chęcińskich

rzeka płynie środkiem doliny, środkiem łąk, mokradła są po obu stronach doliny u stóp podnoszenia się gruntu. Jeśli rzeka podchodzi pod któryś brzeg – tu mokradła nikną kosztem rzeki (woda wypływa spod gleby i od razu spływa do rzeki), a mokradła występują po drugiej stronie doliny.

Oczywiście, dawne łąki mokre, mokradła dawały siano niskiej jakości. Łąka była zakwaszona, trawa rosła na niej mało szorstka. Albo występowały szuwary, w miejscowej gwarze zwane „wis”. Trzoda chlewna nie chciała takiego siana jeść. Były łąki tak mokre, że siano po skoszeniu kosą wynosiło się na specjalnych noszach na suchsze miejsca, by tam wyschło.

Czasy współczesne

Do czasów współczesnych należy zaliczyć okres powojenny, w którym to czasie łąki nad rzeką Urzędówką zostały zmeliorowane, odwodnione. Słynne Bajory zostały zmeliorowane. Wiosną już nie dochodzi stamtąd chór żabiego rechotu. Wiele źródeł zanikło, a te, które dotrwały do naszych czasów, już nie są tak obfite w wodę jak niegdyś. Rzeka Urzędówka w rejonie Rynku została

puszczona innym korytem. Łąki w większości zostały osuszone, zaorane i obsiane szlachetnymi odmianami traw pozwalającymi zwiększyć plony siana dwukrotnie.

Wszystkie te działania są ze wszech miar godne pochwały, ale jak już pisałem – pod jednym wszakże warunkiem: Umiejmy gospodarować wodą. Umiejmy ją szybko spuszczać gdy jest jej w nadmiarze, ale umiejmy ją też zatrzymywać, gdy jest jej mało. Na tym polega istota melioracji.

Niżej podpisany, z przyczyn od niego niezależnych, nie może przyjechać do Urzędowa i zobaczyć jak to wygląda dziś. W trakcie pisania tych notatek odwiedził mnie kolega z niewoli Jan Grzebułski z Bęczyna. W rozmowie z nim dowiedziałem się, że już w niektórych rejonach Urzędowa brakuje wody. A więc w Urzędowie zaczyna się niedobór wody. Tu widzę jedno wyjście: należy ponownie odbudować dawne stawy przy nieistniejących młynach, stawy rybne, tworzyć zastawki na rowach odwadniających i zatrzymywać wodę. Jest to jedyny sposób na podwyższanie poziomu wód gruntowych w Urzędowie. Innego wyjścia nie ma. Czy wcześniej, czy później Urzędów musi to zrobić.

Na zakończenie jako ciekawostkę geologiczną moich stron rodzinnych pragnę podać, że w pobliżu Urzędowa we wsi Leszczyna (która jest usytuowana w głębokim wąwozie odbiegającym od rzeki Urzędówki we wsi Skorczyce w kierunku północnym) znajduje się słynne grodzisko wyżynne z IX wieku. Wieś ciągnie się wzdłuż owego wąwozu, mającego długość ok. 2 km. Domy we wsi są pobudowane na dnie wąwozu, na jego zboczach lub szczycie.

Dodatkową ciekawostką jest to, że źródła bijące w tej wsi są czynne co kilka lat. Nikt nie prowadzi notatek, w których latach źródła były, a w których nie. Na podstawie rozmów z mieszkańcami wsi Leszczyna można stwierdzić, że ilość opadów w lecie nie ma wpływu na aktywność źródeł. Innymi słowy – bez względu na to czy lato jest mokre czy suche, źródła raz biją i są czynne, raz nie.

Nam laikom trudno to sobie wytłumaczyć. Warto tym zainteresować geologa, który by wyjaśnił dlaczego czasem, mimo że lato jest suche, źródło jest obficie zasilane wodą. Innym razem, mimo że całe lato pada deszcz, źródło jest suche.

Bagienko to jest od strony spływu wód okolone małym nasypem z ziemi, w którym znajduje się masa drobnych skorup ślimaków. Świadczy to, że źródło było kiedyś otoczone groblą zatrzymującą wodę. Rosło tam sitowie, żyły ślimaki. Ten niewielki zbiornik wodny służył mieszkańcom wsi do pojenia trzody chlewniej, hodowli drobiu wodnego, do prania bielizny wreszcie. Z upływem czasu grobla została zniwelowana, woda spłynęła, dno zostało zamulone. Ale ślady tego pozostały.

Dziś w miejscu owego zbiornika wody jest trochę błota rozdeptanego nogami krów. Trawa zniszczona, pustkowie.

Warszawa, 15.02.1985 r.

Anna Wnuk-Bednarczyk

Życie i notatki codzienne Zdzisławy Węglińskiej, ziemianki z Ostrowa

Hiacynta Zdzisława Helena Trzeciakowska pochodziła z Wielkopolski, czyli zaboru niemieckiego. Urodziła się 17 sierpnia 1893 r. w Poznaniu. Była córką Stanisława i Heleny z Kręglewskich.

W roku 1923 wyszła za mąż za ziemianina Franciszka Tadeusza Węglińskiego, syna Czesława Węglińskiego i Marii z Mazurkiewiczów z Ostrowa w gminie Urzędów. Mąż Tadeusz walczył w Legionach podczas tzw. Wielkiej Wojny i w wojnie polsko-bolszewickiej. Był bardzo związany z rodzinnym Ostrowem i tam wrócił z wojennej



Zdzisława z synkiem Bobusiem czyli Andrzejem

tułaczki. Po ślubie chciał się usamodzielnic, więc wziął w dzierżawę majątek Brzeście nad Wisłą. Otrzymał pożyczkę w Związku Chmielarzy. Założył tam chmielnik, a sprzedaż chmielu była wówczas bardzo opłacalna. Przez kilka lat Tadeuszowi bardzo się udawała uprawa pól nad Wisłą. Mówiono, że woda co jakiś czas zalewała pola, ale po powodzi w kolejnych latach plony były bardzo dobre. Tadeusz osobiście zarządzał majątkiem, choć często wyjeżdżał. Bardzo chętnie spotykał się z towarzyszami broni z czasów wojny. Żona przebywała w Brześćkach albo podróżowała. Jak wyglądał fragment życia tej ziemianki wiemy dzięki jej notatkom z 1926 r., które szczęśliwie ujrzały

światło dzienne. Zdzisława Węglińska dostała na gwiazdkę w 1925 r. mały kalendarzyk z dedykacją: „Zdziśce na spisanie grzechów codziennego życia”. Zanotowane przez nią informacje są bardzo różnorodne, ale przybliżają nas do ludzi, którzy są związani z naszym regionem. Życie w Brześćkach było dla Zdzisławy z jednej strony spokojne i uporządkowane, z drugiej zaś zbyt monotonne i nudne. Prowadziła systematyczną korespondencję z bratem Januszem, który po pierwszej wojnie osiadł w Berlinie, oraz ze znajomymi. Pisała też czasami listy do teściowej, Marii z Mazurkiewiczów Węglińskiej.

28 lipca Zdzisława z synkiem Andrzejem wyjechała do Warszawy. Była w stolicy na kabarecie 31 lipca, a 2 sierpnia na koncercie. 7 sierpnia ze znajomymi poszła do cukierni teatralnej. 9 sierpnia przez Bydgoszcz dotarła do Poznania, gdzie spotkała się z bratem, który przyjechał z Berlina. Razem odwiedzili ogród zoologiczny i restaurację „Warszawianka”, gdzie pili czekoladę. Zdzisława była też u fryzjera i dentysty. Czas spędzała na tańcach i grze w karty w lokalu „Wielkopolanka”. Bardzo cieszyła się z kwiatów, które dostała od znajomego czy „wielbiciela” – pana Waława. Potem bywali razem w restauracjach, tj. „Royal” czy „Careton”. Natomiast 27 i 29 sierpnia była na grobach rodzinnych na cmentarzu, gdzie złożyła kwiaty: róże, astry, asparagus. Wieczorem wyjechała z Poznania. Miała przesiadkę w Warszawie i z Dworca Wschodniego odjechała do Puław, gdzie oczekiwała na nią służąca Aniela i razem wróciły do domu. W nocy do Brześć dotarł też Tadeusz, który podarował żonie lilię okienną.

Ukochanego synka Andrzeja, urodzonego w 1924 r., Zdzisława nazywała Bobusiem. Pisała o nim codziennie i ważyła go co miesiąc. Tadeusz często wyjeżdżał z Brześć do Lublina i Ostrowa, a także Puław, Radomia, Zwolenia. 9 stycznia 1926 r. wrócił z Lublina z wiadomością, że 50 mórg Ostrowa rozparcelowano w ramach reformy rolnej. W ostrowskim domu rodzinnym przebywał zazwyczaj 2 czy 3 dni i wracał do Brześć.

W niewielkim dworku w Brześćkach był m.in.: salonik, kancelaria, pokój sypialny, pokój jadalny, spiżarnia, piwnica. Mroźna zima 1926 r. spowodowała, że 12 stycznia Zdzisława musiała oklejać okna w domu. Natomiast w listopadzie bielono po kolei wszystkie pomieszczenia w dworku.

Zdzisława częste kontakty utrzymywała z ciotką i wujem Dulebami, którzy mieszkali w pobliżu. 13 stycznia Zdzisława i Helena z Rejnerów Dulebina były razem w Puławach. 1 czerwca po południu przyjechał wuj Kazimierz Duleba, a 3 czerwca wujostwo Dulebowie byli na obiedzie. Zdzisława otrzymywała prezenty od znajomych, którzy ją odwiedzali, np. popielniczkę, zegarek, wisiołek, obsadkę bursztynową, czekoladki, wino, watę, jedwabne pończochy, a mały Andrzej czyli Bobuś m.in. pajaca czy tramwaj.

Co dwa, trzy dni we dworze robiono i cegielkowano masło. Wykorzystywano maszynę centryfugę do mleka. Masło i śmietankę sprzedawano w Puławach, m.in. dostarczano do puławskiego szpitala. 23 września we dworze pieczono ciastka, a potem smażyono śliwki. Łupano też orzechy. W majątku co jakiś czas było świniobicie i robienie kielbas. Od czasu do czasu robiono wódkę, np. filtrowanie odbyło się 16 listopada. Wódka i wino towarzyszyły posiłkom u państwa Węglińskich. Często wymieniane prace we dworze to: chlorowanie białizny,



Brzeście 1925 r. Zdzisia i Jędrus, z boku znajomi

pranie, farbowanie, porządki w szafie, robótki ręczne, np. Zdzisława robiła mereżkę przy serwetce czy szal, haftowanie serwetek, np. na tackę srebrną, układanie kwiatów, mycie walizek, prasowanie, liczenie białizny, fastrygowanie, porządki w szafie kredensowej i kuchennej, smażenie powideł, porządki na strychu z książkami, naprawianie białizny, szycie na maszynie. 11 grudnia Zdzisława zrobiła pasztet z królików. Czasami piekła i przekładała torty. Wyrobami mięsnymi zajmowała się pani Leopolda, którą wzywano w tym celu do dworu np. 17 grudnia. Tego dnia przyjechał też pan Piasecki i przywiózł wina i konserwy. 22 grudnia zabito cielę i znów wezwano panią Leopoldę.

Do Brześć należał folwark Kanieńszczyzna. Nie wiemy ilu było pracowników we dworze. Są jednak wzmianki o kilku osobach. 18 lipca zgodzono „dziewkę” do krów. 1 października służąca Aniela „wymówiła” posadę. 28 października przyjechał weterynarz do konia. W niedzielę 31 stycznia Tadeusz był u leśniczego, a 14 lutego było wesele u chmielarza, ale państwo Węglińscy nie skorzystali z zaproszenia. W majątku był też rządcą, który m.in. jeździł na śródowny jarmark najpewniej do pobliskiego Janowca.

W majątku była suszarnia, chmielnik, królikarnia, kurnik, stajnia, gumno. Hodowano m.in. króliki, krowy, świnię, owce. Koło kapliczki robiono stertę. Czasami Zdzisława handlowała inwentarzem z majątku, np. 1 lutego sprzedawała barana i owieczkę, a 10 maja świnkę. 10 czerwca zarządziła wybieranie owieczek do handlu. 17 lutego Tadeusz zabrał do Lublina skórki królicze do garbowania.

W ogrodzie w Brześćcach była huśtawka, a pani domu uprawiała kwiaty i warzywa, np. 7 lutego zanotowała, że rozkwitł hiacynt i fiołek alpejski. W ogrodzie w Brześćcach sadzono georginie. 14 kwietnia wyniesiono agawy. 15 kwietnia obcinano dzikie wino i siano trawę. 17 kwietnia flancowano bratki. Siano też rzodkiewkę, maciejkę, groszek pachnący, ale także kukurydzę i ogórki w gruncie. Spryskiwano róże. Uprawiano pomidory i truskawki, ale 12 czerwca Zdzisława kupowała w Puławach w Instytucie owoce truskawek i kalafiory. Wiosną przygotowywano się do „nasadzeń” w ogrodzie, np. 23 marca pikowano kapustę. Często przyjeżdżała do Węglińskich Hanna, stryjeczna siostra Tadeusza, córka Leonarda Mazurkiewicza. Hania знаła się na ogrodnictwie i zawsze była oczekiwana w Brześćcach. Pracowała w Pożogu i np. stamtąd przyjechała 29 maja do Brześć. 28 marca przycinała drzewka w sadzie Węglińskich w Brześćcach, a 25 lipca okulizowała róże pnące. 28 września odbywało się zbieranie kalafiorów. 30 października Zdzisława zbierała nasionka kwiatów i wyjmowała dalie. 17 listopada odbywało się dołowanie kapusty. Zarządzono też nawijanie wełny.

Czasami Węglińscy jeździli nad Wisłę. Latem była tam plaża na wyspie. 23 czerwca oglądano wylewy rzeki. Lubili też wyjazdy do lasu, np. z rządcą jeździli linijką na fiołki. Na grzyby pojechali np. 15 czerwca, na poziomki i jagody 25 czerwca. Natomiast 9 grudnia byli sankami na spacerze.



Zdzisława, Andrzejek i Tadeusz nad Wisłą

Zdzisława miała też czas dla siebie: manicure, czarna kawa w salonie, np. 17 października z przyjacielem Stachem. Lubiała czytać, m.in. 14 lutego wspominała, że czyta książkę *Piotr i Jan G. de Maupassanta*. 13 lipca spędzała z lekturą *Dama kameliowa* A. Dumasa. Czytała również książki synkowi Andrzejowi. Prenumerowała czasopisma, np. „Bluszcz”, „Matka i dziecko”, „Ogrodnik”. Robiła fotografie, np. alei róż, Andrzejka w nowym ubranku, „dziewczyn przy robocie”.

Różne sprawy i zakupy Węglińscy załatwiali najczęściej w Puławach. Zdzisława kupowała tam np. tytoń. W restauracji u Weppy spożywano posiłki – obiady,

herbatę, kawę. U Roparda jedzono lody. Do Janowca Zdzisława jeździła zazwyczaj do krawcowej, do szewca czy po zakupy, np. 28 lutego kupiła tam prezent dla ciotki: 2 prześcieradła i fartuszek. Czasami jeździła do kościoła, np. 18 lipca była w janowieckiej świątyni z Hanią.

W Wielką Sobotę 3 kwietnia we dworze przygotowywano święcone dla służby i szyto firaneczki do okien. Rano w Wielką Niedzielę Węglińscy robili zdjęcia w parku, a następnie pojechali obejrzeć nowo wybudowany kościół w Przylęku. Parafię powołano tam 17 lipca 1926 r. Natomiast Brzeście należały do parafii w Janowcu.

13 maja wspominała Zdzisława, że przyjechali goście, czyli Hania i wuj Józef Mazurkiewicz z żoną Zosią. Rozmawiano o sytuacji w Polsce, ponieważ w Warszawie w tym czasie były rozruchy – zamach majowy. Tadeusz z wujem Józefem następnego dnia, 14 maja, byli w Zwoleniu, a Zdzisława z Zosią siedziały w salonie. 17 maja Hania i wujostwo wyjechali z Brześć. 21 maja Węglińscy pakowali rzeczy przed wyjazdem do Ostrowa, aby spotkać się z rodziną. 23 maja Zdzisława była z synkiem i teściową w kościele w Popkowicach. Na obiedzie we dworze był ksiądz Henryk Wiśniewski, a Zdzisława określiła, że był bardzo sympatyczny i miły. Po obiedzie, z babcią Joanną Mazurkiewicz z Olszańskich i Bobusiem byli na spacerze w ostrowskim parku. Zdzisława oceniła, że „babka jest despotyczna dla dziecka”. 24 maja były imieniny babci Joanny. Zdzisława określiła, że starsza pani Mazurkiewicz chodziła w czarnej, ale „dziewczęcej sukience”. Po południu Węglińscy i Mazurkiewiczowie pojechali powozem na spacer do Leszczyny, na grodzisko. A oto wrażenia z wyprawy: „śliczne góry, ślady po zamku i fosach za czasów pogaństwa”. Wieczór spędzali w Ostrowie, pijąc wino babci Joanny oraz Zosi Mazurkiewiczowej. Rano 25 maja do Lublina „odjechał Tadek, Hania i Liza, wuj Józef”, a teściowa Maria Węglińska do Kraśnika. Zdzisława pozostała w Ostrowie i była z synkiem u Zosi Mazurkiewicz. Babcia Joanna namawiała Zdzisławę do oszczędności i zakazywała wyjeżdżać z Ostrowa. Jednak 27 maja po obiedzie Zdzisława z synkiem została odwieziona przez Zosię do pociągu do Kraśnika. Stąd pojechała do Lublina, a następnie do Puław.

Z Brześć jeżdżono do sąsiednich miejscowości: po wiśnie do Baryczki, po jabłka do Lucimi. Rządca Antoni 26 lipca przywiózł 150 kg wiśni. Zdzisława była z rządcą po gruszki i śliwki u niejakiego Kwapisiewicza.

1 września Zdzisława kupowała w Puławach sprawunki na dożynki. Zabito świnie, robiono „pasztetowe kiszki, kiełbasy i salcesony”. W Janowcu zamówiono chleb na dożynki. 5 września o godzinie trzeciej rozpoczęły się dożynki. Chłopi przynieśli wianki z żyta i chmielu oraz przyprowadzono przystrojoną żniwiarkę. Atrakcją dla uczestników była zabawa taneczna i muzyka. Na dożynkach byli wujostwo Dulębowie i Hania Dulębianka, rządca Antoni i znajomy Olek.

19 września zaproszeni panowie razem z Tadeuszem Węglińskim pojechali na polowanie. Niejaki pan Genio zabił 9 kuropatw. 26 września Tadeusz kupił fuzję.

3 października do Brześć przyjechała teściowa Zdzisławy, a 27 listopada „konie z Ostrowa” przywiozły jabłka, mąkę, szynkę i konfitury.

26 października obchodzono urodziny Bobusia czyli Andrzeja. Natomiast wieczorem 27 października pakowano prezenty dla Tadeusza. Rano 28 października składano mu życzenia. Dostał od synka notes, a od żony „pantofle ranne”.

6 listopada Zdzisława była w Lublinie. Jedli z mężem obiad w restauracji „Europa”. Po południu „robili sprawunki”. Wieczorem byli na kolacji w „Europie” i na dancingu. Tańczyli i pili wino. 7 listopada spotkali się z panem Chamcem z Krężnicy Jarej, Hanią i Mietkiem Rutkowskimi. Czas spędzili na obiedzie w restauracji „Wiktoria”, a następnie w teatrze. Potem byli na kolacji i dancingu. 8 listopada Zdzisława wróciła do domu w Brześć. 9 listopada rano była na mszy świętej w Janowcu z racji rocznicy śmierci przyjaciółki Ludy.



Pracownice Hania i Hela Siesieckie przy odbiorze chmielu na ćwierci, a nie na wagę, 30 VIII 1927 r.

7 grudnia przysłała do Andrzeja paczka ze świętym Mikołajem od wujka Janusza z Niemiec.

8 grudnia przyjaciel Węglińskich Stanisław czytał wspomnienia ciotki Dulębiny z Rosji. W roku 1906 z inicjatywy Stefana Żeromskiego, Faustyny Morzyckiej, Gustawa Daniłowskiego, Kazimierza i Heleny Dulębów powstało w Nałęczowie Towarzystwo Szerzenia Oświaty „Światło”. Koło „Światło” założono także w Niezabitowie. Głównym organizatorem był Kazimierz Dulęba, mieszkaniec Niezabitowa i administrator tutejszego majątku. Pan Dulęba dysponował pokaźnym księgozbiorem, który udostępniał mieszkańcom wsi.

19 grudnia Zdzisława pojechała pociągiem do Lublina. Była na kolacji w restauracji „Nadbystrzycka”. Śniadanie jadła w hotelu, obiad z Tadeuszem i Mietkiem w Hotelu „Europejskim”, kupiła prezenty, była u kuzynki Lizy Mazurkiewiczówny, a po południu wróciła do domu. 24 grudnia po obiedzie ubierano we dworze choinkę. Na Sylwestra pieczono pączki i czekano na godzinę 12 w nocy i powitanie Nowego Roku.

W roku 1929 rodzina powiększyła się, ponieważ urodził się drugi syn Węglińskich Janusz Bonawentura Ludomir (ur. 18 stycznia 1929 r.). Niestety Tadeusz Węgliński podejmował ryzykowne interesy i jego kondycja ekonomiczna pod koniec lat 20. XX w. pogarszała się. W końcu popadł w poważne kłopoty finansowe. Maria Węglińska,

matka Tadeusza, wiedząc o tym prosiła, aby Zdzisława nakłoniła męża do powrotu z Brześć do domu rodzinnego w Ostrowie. Oto jeden z listów:

Ostrów dn. 4 XII 1929 r.

Kochana Zdzisiu dawno Kochanie nie pisałam do Ciebie i dziś nie zdobyłabym się na ten wielki wysiłek gdyby nie to, że jest pewna sprawa, w której chciałabym abyśmy się obie bez udziału Tadzia porozumiały. A więc bez wielkich wstępów przystępuję do niej. Moja droga nikt więcej ode mnie nie kocha i nie ceni wolności osobistej, i u nikogo nie jest chyba głębiej zakorzenione przekonanie, że wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej, mając więc takie przekonania, [...] i najzupełniej pojmuję, że za wszelką cenę pragniesz mieć kąt własny. Gdy się Tadzio żenił całym dążeniem moim było, aby go uniezależnić, żebyście mieli własny kąt i musisz przyznać, że gdy położenie było dobre nigdy nosa swego do Was nie wsadzałam i nawet swoją osobą nikogo nie zajmowałam, bo jeśli się nie myłę byłam w Brześćcach za Waszego gospodarstwa 4 razy. Ale niestety obecnie położenie się zmieniło i od roku zeszłego jest stokroć gorzej, w przeszłym roku byliście bliscy bankructwa, a w tym roku niestety jest bankructwo, w Brześćcach właściwie nie ma nic i lada dzień mogą Was stamtąd wyrzucić. Sytuacja jest więc nad wyraz poważna. Zdzisiu Kochana dla dobra i przyszłości swoich dzieci powinnaś się nad nią zastanowić. Moim zdaniem

najlepiej zrobić tak: zdobyć pewną kwotę pieniędzy (mężę się teraz straszliwie nad tą sprawą) i gdy się zdobędzie uporządkować rachunki z ludźmi, to jest zapłacić zaległości i wówczas wyjechać z Brześć na miesiące zimowe, bo wierzę mi, że jest to nad siły utrzymać dom w Brześćcach: gospodynię, 3 służące, cugowe konie z furmanem, itd. Może przyjdzie chwila, że istotnie zabraknie na opał i obrok dla koni lub też komornik też konie i meble sprzeda, czyż nie lepiej Zdzisiu kochana uniknąć tych przykrych skandalów. Ścieśnić się na przeciąg 3–5 miesięcy, a może Bóg miłosierny pozwoli, że wiosną będziemy mieć pomyslniejszą. Tadzio jest tak przygnębiony, że lękam się o niego i siły całe wyteżam, aby pomagać, ale niestety ja tak już mało mogę. Pomyśl nad tym Zdzisiu, co piszę i serdecznie Cię proszę przyjeżdżaj z dziećmi do Ostrowa, wszakże to tylko małe poświęcenie na parę miesięcy, a ileż oszczędzisz nam kosztów, na które nie wiadomo skąd brać. Sama zaś zostając na zimę w Brześćcach, nie wiadomo na co się narażasz, bo jak wspominałam komornik i sekwestrator tylko czekają, aby ten interes zlikwidować. Przykro mi, że się to pisze i wyrządzam Ci przykrość, jednak czuję, że Tadzio Ci tego nie powie. Uważam więc za swój obowiązek

odstąpienia Ci prawdy. Proszę Cię w imię dobra Twoich dzieci namyśl się dobrze i do mojej rady się zastosuj. Serdecznie Cię wraz z dziećmi całuję i w każdym razie o słówko odpowiedzi proszę.

M. Węglińska.

Na początku lat 30. XX w. Tadeusz wrócił z rodziną do Ostrowa, gdzie mieszkała Maria Węglińska oraz wuj Józef Mazurkiewicz z rodziną. Zgodził się na propozycję matki, ale zarządzanie majątkami ziemiańskimi nie było łatwym zadaniem¹. Jako agronom starał się dobrze gospodarować, ale kryzys gospodarczy, jaki dotknął wiele majątków, był trudny do przezwyciężenia. Zdzisława Węglińska robiła przetwory i znakomite nalewki. Wiele receptur pozyskiwała od żony zarządcy majątku w Skorzycach, pani Bernaciakowej. Zdzisława Węglińska utrzymywała przyjazne relacje z nauczycielkami z Urzędowa, m.in. z panią Olgą Natorską i Melanią Książkówną.

W czasie II wojny światowej Zdzisława Węglińska mieszkała we dworze w Kłodnicy i była rachmistrzem, zapisywała wszystkie transakcje we dworze. Tadeusz Węgliński kierował majątkiem Kłodnica, który był pod zarządem komisarycznym Niemców. Liegenschaft była to posiadłość rolna w Generalnym Gubernatorstwie administrowana przez niemieckiego pełnomocnika. Tadeusz był zatrudniony przez tego pełnomocnika ponieważ razem z żoną dobrze znał język niemiecki. W Kłodnicy mieszkali Węglińscy do lata 1944 r. Potem zostali wyrzuceni z Kłodnicy, a następnie z Ostrowa.

Po wojnie, jesienią 1944 r., Zdzisława wynajęła sobie pokój w Kraśniku i od 1 września 1945 r. zaczęła pracować jako sekretarka w Gimnazjum Handlowym w Kraśniku. Dawna służba w Ostrowie pomagała Zdzisławie Węglińskiej podczas przenosin do Kraśnika i w kolejnych latach. Rodzina Węglińskich rozsypała się, ponieważ synowie kształcili się i pracowali w Lublinie, a następnie w Krakowie, natomiast Tadeusz pracował jako agronom w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Zdzisława żyła w trudnych warunkach, ale na przełomie lipca i sierpnia 1950 r. udało się jej pojechać koleją na wczasy do Dusznik. Zdzisława zmarła tragicznie 13 października 1952 r. raniona spadającą gałęzią na Placu Litewskim w Lublinie. Zgodnie z wolą synów została pochowana na cmentarzu w przy ulicy Lipowej w Lublinie².

Przypisy:

¹ Archiwum w Kraśniku, Hipoteka w Kraśniku, sygn. 538, Kolonia Popkowice Ostrów, s. 33v.

² Archiwum Parafii Popkowice, KMPP, Urodzenia za lata 1911–1924 i 1928, Śluby 1911–1928, Zmarli 1911–1927, R. 1923, akt 1; Dane pozyskane od Janusza Węglińskiego 23.12.2018 r.



Zdzisława na przełomie lat 40. i 50. XX w.

Kazimierz Cieśliski

Wrzesień, rok 1939 w Urzędowie

W rejonie miasteczka Urzędów, były powiat Kraśnik województwo lubelskie, w pamiętny wrzesień 1939 r. nie było żadnych bitew czy potyczek z nadciągającymi wojskami niemieckimi. Miejscowość ta jest położona ok. 25 km w prostej linii na wschód od Wisły. Dlatego każde wojsko cofające się przed przeciwnikiem ze wschodu w kierunku zachodnim w tym rejonie nie opierało się nigdy, a po przejściu tych 25 km opierało się na Wiśle.

Przykładem tego może być cofanie się wojsk niemieckich w 1944 r. przed napierającą Armią Czerwoną. Wówczas Niemcy też nie zatrzymali się w rejonie Urzędowa, doszli do Wisły, gdzie po zachodniej jej stronie oparli się na przeciąg pół roku czasu.

Wracając do pamiętnego września 1939 r., przez Urzędów nie przetoczyła się żadna wielka armia polska (bo tylko to nas w tej chwili interesuje) niemniej jednak na podstawie własnej obserwacji muszę stwierdzić, że pewne ruchy Wojska Polskiego w rejonie Urzędowa były.

Od chwili wybuchu wojny, to jest od 1.09.1939 r. nieliczne w Urzędowie radia głośnikowe wystawione do otwartych okien nadawały komunikaty wojenne, szyfry, odezwy, np. „Uwaga, uwaga, nadchodzi R.w.-14”, albo: „Uwaga, uwaga, przeszedł S.k.-8”, albo: „Żołnierze, strzelajcie celnie. Strzelajcie bez pośpiechu. Niech każdy pocisk z waszego karabinu zlikwiduje jednego wroga”. Dnia 3.09. po przystąpieniu Anglii do wojny z Niemcami Polskie Radio nadawało następujący komunikat: „Uwaga! Uwaga! Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. Wypowiedzenie wojny przez Francję nastąpi lada chwila. Proszę powiadamiać o tym wszystkie przechodzące oddziały wojskowe”. Pamiętam to dokładnie. Słowo w słowo.

Była piękna złota jesień. Deszczu nie było ani na lekarstwo. Ziemia wyschnięta tworzyła tumany kurzu. Wieczory już były dłuższe, ale ciepłe. Mieszkańcy Urzędowa wieczorami gromadzili się w pobliżu radia, słuchali, komentowali zdarzenia. Z rozmów wycierał strach. Wprawdzie polska propaganda wmawiała narodowi, że jesteśmy mocarstwem, jesteśmy silni, zvarci i gotowi. Że nie damy ani guzika od munduru. Natomiast Niemcy to naród głodny, żyjący na „ersatzach”. Tam nie mają co jeść. Rzeczywistość okazała się jakże inna.

Na wieść o wypowiedzeniu wojny przez Anglię i Francję mieszkańcy Urzędowa cieszyli się bardzo. Patriotyzm wtedy był wśród Polaków wielki. Gdy władze gminne zainicjowały budowę okopów – cała młodzież szkolna i pół mieszkańców Rynku z przylegającymi uliczkami wyleciało z łopatami na Rynek. Zaprowadzono ich dawną ulicą 3 Maja (obecnie Janowska) za wały obronne od ulicy w prawo i tam w polu w krótkim czasie powstały solidne okopy, by w razie bombardowania miała się gdzie schronić ludność cywilna. Schrony okazały się niepotrzebne, żadnych bombardowań nie było.

Od około 8 września zaczęły się pokazywać w rejonie Urzędowa niewielkie oddziały wojskowe – polskie. Przeważnie pieszono od strony wschodniej od Popkowic szli przez Rynek i dalej na zachód ul. Wodną w stronę Wisły.

Zmęczeni straszliwie, zakurzeni tak, że jeszcze w życiu nie widziałem tyle kurzu na człowieku.

Twarzy mało było widać, jarzyły się tylko oczy czerwone, przekrwione ze zmęczenia i niewyspania. Niektóre oddziały zatrzymywały się na Rynku, żołnierze przy pompie pili wodę, myli się. Ludność Urzędowa spontanicznie wyносиła im jedzenie. Ze strachem w oczach ludzie pytali żołnierzy, pytali oficerów co się dzieje. Jak potoczy się dalej wojna. Czy Niemcy tu nie przyjdą? Żołnierze milczeli, a oficerowie dawali wymijające odpowiedzi. Z zachowania się żołnierzy, z min oficerów urzędowiaczy nie wróżyli nic dobrego.

Jeszcze błyskiem radości i nadziei był przejazd polskich czołgów przez Urzędów. Dnia ok. 10 września niespodziewanie od strony Popkowic, z Zakościelnego, z grzechotem gąsienic po kocich łbach Rynku wypadło z ulicy między apteką a domem spółdzielni kilka czołgów. Niewielkie, pomalowane na kolor ochronny, straszliwie zakurzone. Wpadło ich na Rynek około 8 szt., ale żaden nie zatrzymał się. Z grzechotem gąsienic pomknęły w ul. Wodną, na zachód, na spotkanie Niemców. Cywile zgrupowani na Rynku z radością w oczach zaczęli wiwatować na ich cześć. Grzechot gąsienic ucichł, a od wschodu znowu pojawili się straszliwie zakurzeni piechurzy z ponurymi minami. Była piękna złota jesień.

W jeden wrześniowy wieczór dnia ok. 11-tego przy końcu ul. 3 Maja na wałach obronnych pojawił się oddział polskiego wojska. Mieli jeszcze kuchnię ciągniętą przez konie. Oddział liczył ok. 50 ludzi. Ja mieszkałem obok, przy ul. 3 Maja, więc jak to mały chłopak kręciłem się między żołnierzami. Kucharz częstował nas czarną kawą z cukrem. Rozmawialiśmy z żołnierzami, usiłowaliśmy z nimi żartować, ale żołnierze byli poważni, daleko im było do żartów. Gdy nazajutrz rano pobiegłem na wały, żołnierzy już nie było.

W rok później w miejscu, gdzie obozowali polscy żołnierze, znalazłem polski karabin zachowany w niezłym stanie. Przekazałem go starszym. Karabin w końcu trafił do partyzantów.

W tym też mniej więcej czasie, tuż przed wkroczeniem do Urzędowa wojsk niemieckich, w nocy urzędowscy Żydzi w miejscu, gdzie zaczyna się przedmieście Zakościelne, tzn. między apteką a domem spółdzielni, wywiesili czerwony transparent witający w Urzędowie wojska rosyjskie. No, niestety wojska rosyjskie do Urzędowa nie doszły, a rano mieszkańcy Urzędowa transparent rzucili na ziemię.

Poszedłem wówczas do siostry mieszkającej we wsi Ostrów za Popkowicami. Szedłem wieczorem. We wsi Skorczyce w wozie spotkałem oddział żołnierzy polskich liczący około 100 ludzi. Znosili słomę ze stogu dworskiego, szykując się do snu. „Chłopcze, zostań z nami. Razem przenocujemy” – mówili. „Nie.” – odpowiedziałem – „Ja muszę iść do siostry”. I poszedłem.

Około dnia 12 września starsza wiekiem niewiasta, matka Jana Steca mieszkającego obecnie w Rynku,

przechodziła łąkami w rejonie na północ od obecnej szkoły podstawowej. W krzakach zauważyła jakiegoś dziwnego żołnierza. Mundur miał koloru zgniłej zieleni, dziwnie mówił, wcale go nie rozumiała. Kobieta dała znać na policję. Policjanci otoczyli krzaki i wzięli żołnierza do niewoli. Przetrzył go dzień czasu w areszcie. Z chwilą ewakuacji policji z Urzędowa jeńca wypuścili na wolność.

10 września Policja Państwowa ewakuowała się z Urzędowa. Ewakuacja polegała na tym, że cała załoga posterunku demonstracyjnie wsiadła na furmanki z bronią i wyjechała z Rynku do sąsiedniej wioski (kolonia Ostrów). Tam policjanci przebrali się w ubrania cywilne i każdy na własną rękę powrócił do Urzędowa do rodziny.

Było przed wojną w Urzędowie trochę biedoty. Kobiety z tych biednych rodzin chodziły do dzierzkowskiego lasu po drewno. Dziś z perspektywy 40 lat od tamtych czasów widzimy, jak niski był poziom życia ludzi niezamożnych w Urzędowie, w porównaniu z dniem dzisiejszym. Dziś, gdy w zagrodzie drzewo uschnie, nie bardzo właściciel się śpieszy zerznąć go i spalić.

Władzy w Urzędowie już nie było i jeszcze nie było. Wykorzystali to miejscowi chłopcy i masowo, kto miał wóz i konie, jechał do lasu i brał państwowe drewno stojące w sągach. Ruch ten przybrał znaczne rozmiary. Na to z kolei czekała biedota miejska mieszkająca przy Rynku, a nie posiadająca wozów i koni. Gdy chłop zbliżał się do Rynku z wozem załadowanym państwowym drewnem – miejscowa biedota rzuciła się nań i każdy z nich ciągnął w swoją stronę kawałek drewna. Skutek tego był taki, że chłop dowiózł z lasu do Rynku furę drewna, tam mu to rozebrano i z pustą furą wracał do domu. Bić się z tymi ludźmi nie mógł, bo ich było więcej i rady by nie dał. Cały rej w tej akcji wodziła „Jewka” – Ewa Puaczowa, bezrolna, matka kilkorga nieletnich dzieci.

Takie były skutki „bezkrólewia” w Urzędowie.

W okresie międzywojennym wykopywało się pnie drzew, poszczególne korzenie i tym paliło się w kuchni. Szła kobieta 2 km do lasu, nazbierała drewna i na plecach niosła 2 km do domu. Dziś powiedzieć o tym młodzieży to by nie wierzyła. Ale to tylko taka mała dygresja. Otóż w tych dniach 12, 13 i 14 września kobiety chodzące po drewno do dzierzkowskiego lasu wracając opowiadały, że w lesie widziały jakieś dziwne wojsko. Żołnierze niemieccy nie czynili żadnej przykrości tym kobietom.

Przed wybuchem wojny z Urzędowa wybiegały 3 linie telefoniczne: do Kraśnika, Popkovic i Dzierzkowic. Z chwilą wybuchu wojny zarządzeniem władz policyjnych urzędowscy Żydzi mieli bronić tych linii przed zniszczeniem przez dywersantów. W praktyce wyglądało to tak: na przestrzeni co 0,5 km stał pod słupem Żyd z siekierą w ręku. Na szosie kraśnickiej byłem świadkiem, jak przejeżdżający szosą łobuzy dokuczali tym Żydom, czyniąc z nimi wiele nieprzystojnych żartów. Nie był to widok budujący.

15 września do Urzędowa weszło wojsko niemieckie, sam patrol. Wejście to opisałem osobno w notatce *Mi-gawki urzędowskie*.

W nocy z 15 na 16 września na Rynek w Urzędowie weszła niemiecka zmotoryzowana jednostka wojskowa. Gdy rano wybiegłem na Rynek (mieszkałem blisko),

ten cały był załadowany niemieckimi pojazdami. Stały równo poustawiane wozy transportowe, działa, moździerze i kuchnie. Żołnierze niemieccy zachowywali się poprawnie.

Cywilie, mieszkańcy Urzędowa, z bojaźnią przechodzili obok nich – ci nie czynili im nic złego. Jednostka ta stacjonowała na Rynku około 2 tygodni. Po jej odjeździe przez całą jesień i zimę były przemarsze przez Urzędów, w różnych kierunkach, niemieckich zmotoryzowanych jednostek wojskowych. Wojsko to nocowało, bądź krótko przebywało w szkole podstawowej mieszczącej się wówczas na plebanii.

Z klas Niemcy wyrzucili ławki szkolne, a Godło Państwowe i portret prezydenta Mościckiego zdarli ze ściany i pokłuli bagnetami. Portret J. Piłsudskiego zostawili na ścianie. Wojsko to przebywało w Domu Ludowym i w domach wielu mieszkańców Urzędowa, wszędzie zachowując się poprawnie. Co nie przeszkodziło, że Niemcy z innego oddziału jadącego do Urzędowa od strony Kraśnika zabrali mojemu bratu Janowi Cieślickiemu wóz i dwa konie z uprzężą, gdy orał pole w pobliżu kapliczki św. Elżbiety.

Zaczął się rozwijać między żołnierzami niemieckimi a ludnością Urzędowa handel wymienny. Za kilka jajek można było od żołnierza dostać butelkę benzyny – rzecz w owym czasie cenną. Nie było zapalek, posiadaczom zapalniczek benzyna była bardzo potrzebna. Zaczęły się pierwsze próby konwersacji. Żołnierz niemiecki mówił swoje, a kobieta z jajkami swoje. Żadne z rozmówców nie rozumiało, co mówi druga osoba. Ale śmiali się oboje. Z początku mało, potem coraz częściej zdarzało się, że młodzi żołnierze niemieccy zaczęli chodzić do urzędowskich dziewczyn. Nie chcę tu wymieniać z nazwiska, do których dziewczyn ci żołnierze chodzili, ale to wówczas wcale nie było poczytywane za coś złego. Młodość ma swoje prawa. To jedno. Po wtóre w okolicy Urzędowa nie było żadnych walk, mordów, zniszczeń. Nie było więc konkretnie za co nienawidzić Niemców.

Bariera językowa dla młodych nie stanowi wielkiej przeszkody. Pamiętam, do jednej młodej, ładnej dziewczyny przychodził młody, ładny chłopak o imieniu Abel. Chłopak był wesoły, dziewczyna i jej rodzeństwo też. I ja, zaglądając tam nieraz, widziałem, że było wesoło i przyjemnie. Nie odczuwało się, że się obcuje z wrogiem. Jeszcze nie było zapiekłej nienawiści, nie było zbrodni ani mordów.

W tym też czasie w jednej z niemieckich jednostek zmotoryzowanych przejeżdżającej przez Urzędów widziałem jeńca – polskiego żołnierza. Żołnierze niemieccy odpoczywali za kościołem na szosie, a nasz żołnierz siedział na poboczu drogi na trawie. Odpoczywał. Przechodzący obok mieszkańcy Urzędowa ze współczuciem patrzyli na niego, ale nie rozmawiali z nim, bojąc się Niemców.

Potem zaczął się exodus trwający całą jesień do zimy. Pojedynczo lub małymi grupami wracali polscy żołnierze ze wschodu, z Podola, Wołynia, z błot Poleskich.

Tam ich pułki zostały rozbite przez wojska niemieckie lub Armię Czerwoną. Cudem uniknąwszy niewoli niemieckiej czy rosyjskiej, często ograbieni, pobici przez Ukraińców, wracali w swoje rodzinne strony. Dzień i noc szły ich tysiące. Pojedynczo, małymi grupami.

Nigdy nie szli ważniejszą drogą. Ścieżkami za ludzkimi obejściami, miedzami, skrajem lasu, łąkami. Ja, młody 14-letni chłopak, którego wszędzie było pełno, często spotykałem ich na swojej drodze. Zawsze pierwszym ich pytaniem było: „Czy tu są Niemcy? Chłopiec, przynieś wody do picia. Którędy tu można przejść bezpiecznie dalej na zachód?”. Ja i moi koledzy przynosiliśmy im wody, czasem coś do jedzenia. Informowaliśmy ich czy są w Urzędowie i gdzie indziej Niemcy, którądy można bezpiecznie przejść na zachód.

Ubrani byli ci żołnierze przeważnie w mundury polskie, oczywiście bez broni, pasów i orzełków na czapkach. Wśród nich byli również i tacy, którzy zdążyli zamienić mundur na ubranie cywilne. Ci byli bardziej śmiały w podróży do domu, jako mniej narażeni na schwytywanie przez Niemców.

We wsi Ostrów, gdzie przebywałem kilka dni u siostry, spotkałem raz na polnej drodze polski oddział konny liczący ok. 70 ludzi zbliżający się od strony lasu do wsi Popkowice. Uzbrojeni w karabiny, szable. Jeden z żołnierzy musiał znać te strony lub stąd pochodził, bo krzyknął: „Panie poruczniku! Tam na lewo jest browar”.

Na noc znowu przyszli żołnierze na nocleg. Wspomniałem im o tym oddziale. Zaczęli kłać straszliwie: „Łobuzy, marudery. Czają się na skraju lasu i obierają powracających żołnierzy z broni, amunicji, umundurowania i pieniędzy”. Wszyscy żołnierze powracający w rozsypce ze wschodu do swoich rodzin na zachód w Kieleckie i inne opowiadali dużo o walkach z Niemcami, o rozbiciu ich pułków, o uniknięciu niewoli niemieckiej czy rosyjskiej, o podnoszeniu głowy przez Żydów na Kresach, o wyczynach Ukraińców. Ja, młody wówczas chłopak, nasłuchiwałem się dużo tych opowieści. Z rozmów tych wychodziła tragedia narodu polskiego.

Piękna słoneczna jesień skończyła się. Zaczęły się pluchy jesienne. Wśród powracających uciekinierów zaczęli pojawiać się cywile. Całe rodziny brudne i oberwane, głodne i zawszone przeciągały przez nasze okolice ze wschodu na zachód. Byli to uciekinierzy, którzy przed Niemcami uciekali w początkach września na wschód. Teraz wracali w oplakany stan do domów.

Z Urzędowa również tuż przed wejściem Niemców grupa młodych ludzi uciekła na wschód. Uciekali niedaleko, do Zamościa, Hrubieszowa. Z nich pamiętam tylko fryzjera o nazwisku Wziątek. Przebywali tam około 2 tygodnie i jak wszyscy – głodni i zmęczeni wrócili do Urzędowa. Z urzędowskich uciekinierów jeden stracił życie. A był to student czwartego roku medycyny w Lublinie, syn znanego organisty z Urzędowa Ludwika Barwy. Gdzieś na Kresach przeprawił się przez rzekę, zmoczył, przeziębził się i zmarł. Był to wartościowy człowiek. Szkoda go. Podczas okupacji rodzice zmarłego sprowadzili jego szczątki do Urzędowa, urządzając uroczysty pogrzeb.

Teraz chciałem napisać kilka słów na temat patriotyzmu. Urzędów – stare miasto królewskie – w przeszłości nigdy nie szczędziło krwi przelanej w obronie ojczyzny. Tak było w okresie obu powstań – listopadowego i styczniowego. Tak też było w okresie odzyskania niepodległości w 1918 r., gdy młodzież bardzo licznie wstępowała w szeregi POW, Legionów i dalej w szeregi wojskowe do walki z ZSRR w 1920 r.

Moi rodzice byli półanalfabetami. Umieli czytać tylko z książek do nabożeństwa. Ludźmi, którzy uczyli mnie patriotyzmu, byli nauczyciele ludowi w szkole powszechnej. Oni mnie uczyli historii Polski, języka polskiego. Oni opowiadali o bohaterach narodowych. Radio u sąsiadów, gazety mówiły mi, że Polska jest mocarstwem, że Polska żąda kolonii. Że nie damy Niemcom ani guzika od munduru. Plakaty mówiły: jesteście silni, zwarci i gotowi. I ja w to wierzyłem, bo niby dlaczego miałbym nie wierzyć, skoro miejscowe autorytety to powtarzały, w to wierzyły. I oto nagle 15 września, w piętnastym dniu wojny Niemcy wkroczyli do Urzędowa będącego w centrum ówczesnej Polski. Dla mnie 14-letniego wówczas chłopca to był szok! Ja nie wiedziałem, co się stało i dlaczego to się stało. Patrzyłem nieraz nauczycielom swoim w oczy z niemym pytaniem: dlaczego to się stało? Przecież byliśmy mocarstwem, przecież mieliśmy nie dać ani guzika od munduru? A nauczycielstwo milczało, ciężko borykając się z coraz trudniejszymi warunkami bytu w niewoli.

Ostatnim akcentem tego opowiadania niech będzie moje spotkanie z niemieckim żandarmem w Urzędowie. Była już późna jesień. Część plebanii zajęta była przez niemiecką żandarmerię przez całą okupację. Na furcie wejściowej umieszczony był napis: „Eingang” – wejście.

Z plebanii często słycać było krzyki katowanych urzędowiaków. Idę wtedy wieczorem przez Rynek i świecę latarką elektryczną pod nogi. A Polakom już nie wolno było używać latarek elektrycznych. Podszedł do mnie kolega Władysław Mazik i mówi: „Kazik, pokaż latarkę”. Dałem mu ją, a on zaczął błyskać nią wokół. Niespodziewanie podszedł do nas po cywilnemu żandarm niemiecki nazwiskiem Reichert, osoba już znana w Urzędowie. Kiwnięciem ręki dał znać żeby mu oddać latarkę. I wtedy zaczął do nas coś wrzeszczeć po niemiecku. Język polski znał, ale nie chciał w tym języku do nas mówić. Powrzeszczał jakiś czas, my nic z jego wrzasku nie rozumieliśmy. W końcu uderzył mnie z całej siły w twarz, kolegę też z okrzykiem: „Raus!”. Rozbiegliśmy się z kolegą, każdy w stronę swojego domu. Uderzenie w twarz było dla mnie tak silne, że w uchu usłyszałem głęboki dźwięk, który w miarę upływu czasu jak biegłem do domu stopniowo malał, nikił jak w czaszy dzwonu. Wpadłem do domu. Mama pyta: „Coś ty taki czerwony, napuchnięty na twarzy z jednej strony?”. Ja, pociągając nosem, odpowiadam, że Niemiec mnie zbił. Na tym by się ta sprawa skończyła, gdyby nie to, że ja, młody wówczas chłopak, zacząłem palić papierosy. Raz, pamiętam, w niedługi czas po tym incydencie z żandarmem pociągałem papierosa w gronie rówieśników. Nagle jeden z nich krzyknął: „Kazik! Tobie z ucha leci dym!”. Spojrzeli na mnie koledzy, sprawdziłem i ja przed lustrem. Rzeczywiście, dym wychodził z lewego ucha. Nie trwało to długo, jakieś 2–3 tygodnie. Potem przestał. Po wielu latach, będąc u laryngologa w Warszawie, zapytałem go, czy w dzieciństwie miałem pękniętą błonę w lewym uchu. „Tak, – powiedział – jest na błonie widoczna biała blizna, ślad, że niegdyś błona pękła i z czasem zarosła”.

Przyszedł potem rok 1940 i dalsze lata okupacji niemieckiej brzemienne w skutki i na arenie światowej i w skali maleńkiego Urzędowa. Ale to już inna historia.

Warszawa, listopad 1981 r.

Kontyngenty okupacyjne

Kontyngenty – gdy przypomnę sobie to słowo włosy mi się jeżą na głowie. Muszę wyjaśnić dlaczego.

Ojciec mój za przynależność do ZWZ został aresztowany przez gestapo i wywieziony na Zamek w Lublinie. Była to wyspa o najrozleglejszym wymiarze. Wśród 70 wywiezionych członków organizacji pamiętam B. Dzikowskiego, A. Grabowskiego, C. Gajewskiego. Niemal wszyscy zostali rozstrzelani. Ojcu udało się dzięki przypadkowi wydostać na wolność. Ukrywał się. Władze okupacyjne za ucieczkę ojca nakazały wymierzenie bardzo wysokich kontyngentów na ojca gospodarstwo. Myśmy całą rodziną doznali niedostatku, głodu i biedy. Dr Ściegienny, lecząc mnie, po prześwietleniu mojej klatki piersiowej postawił taką diagnozę, że moja ciocia płakała. Dzięki nadzwyczajnej opiece dr. J. Ściegiennego odzyskałem zdrowie. Kontyngenty były ustalone dla gospodarstw, ilość przymusowych dostaw artykułów rolnych: zbóż, nasion roślin oleistych, warzyw, ziemniaków, buraków cukrowych, zwierząt rzeźnych (krów i trzody), jaj, ryb, mleka, a nawet miodu z pasiek.

Kontyngenty wprowadzono w 1940 r. w Generalnym Gubernatorstwie, w składzie którego znajdowało się województwo lubelskie. Władze niemieckie ustaliły ceny za poszczególne artykuły. Były one o wiele niższe od rynkowych na targach. Była to wprost zbrodnicza polityka władz okupacyjnych w stosunku do rolników, którzy byli okradani. Kontyngenty ściągano przemocą przy pomocy policji. Okupant zastosował politykę represyjną wobec rolników.

Rozporządzeniem z 10 X 1943 r. Generalnego Gubernatora wprowadzono karę aresztu i więzienia oraz wysyłki do obozów, a nawet karę śmierci za małe i nieterminowe dostawy, względnie niewywiązywanie się z kontyngentów. Grożono również ogłoszeniami starosty w Kraśniku o nałożonych sankcjach pieniężnych na rolników za nieodstawienie kontyngentów ze zwierząt. Wszystkie zwierzęta (bydło, trzoda) zostały zakolczykowane. Niektóre rodziny cierpiały bezprzykładną biedę.

Od 1942 r. w okresie żniw ogłaszano stan wyjątkowy (terminowe dostawy zbóż do końca sierpnia lub połowy września). Pamiętam, rolnicy młócili zboże nocami i odstawiali do punktu skupu często niedokładnie oczyszczone, za co uzyskiwali niższe ceny za 1 kwintal niż przewidywały urzędowe cenniki. Przypominam sobie, jak wobec rolników z Bęczyna zarządzono rekwizycję krów (przy udziale gestapo i policji granatowej). Dużą ilość krów popędzono do Kraśnika. Pozostawić mógł rolnik 200 kg nasion zbóż do zasiewu 1 ha. Młyny zostały zamknięte. Zabrano również jedyną krowę rolnikowi posiadającemu 5 lub 6 dzieci. Nie pomogły łzy i przekleństwa ze strony rolnika i jego żony. Pozbawiono ich w ten sposób jedynej żywicieli rodziny, tj. mleka dla dzieci.

Władze propagandowo wprowadziły nagrody za terminowe dostawy głównie w postaci wódki, cukru oraz artykułów włókienniczych i metalowych. Nakazy płynące ze Starostwa w Kraśniku, dotyczące ilości i terminów dostaw kontyngentów, wypełniał skrupulatnie wysie-

dleniec z Poznańskiego Łasiński – burmistrz Urzędowa, a pomagał mu agronom Samolej. Na ich wniosek powołano Komisję Kontyngentową składającą się z 5 osób, byli to zamożniejsi rolnicy. Komisja ta miała za zadanie ustalanie wysokości kontyngentów i była wysoce niesprawiedliwa, co było przyczyną ogólnego niezadowolenia.

Rolnicy z Urzędowa masowo występowali przeciwko akcji kontyngentowej:

- Zaniżano powierzchnię zasiewów poszczególnych roślin, by w ten sposób ukryć zbiór i część zebranych płodów rolnych przeznaczyć na zaspokojenie własnych potrzeb, względnie na pomoc ludziom potrzebującym.

- Odstawiano zboża porośnięte, zanieczyszczone chwastami.

- Przekładano kolczyki ze starszych zwierząt na młodsze, by w ten nielegalny sposób uzyskać mięso. Starano się cenne zwierzęta przeznaczyć do dalszej hodowli. Do akcji włączyła się Komenda Placówki Armii Krajowej.

Na podstawie wytycznych Rządu Emigracyjnego z 1942 r. Komenda Placówki zaleciła: oddawanie kontyngentów zebranych tylko z części arealów roślin uprawnych, polecano też chowanie zapasów. Wzywano właścicieli młynów, by uruchamiali je w nocy w celu zaspokojenia niezbędnych potrzeb ludności w mąkę. Podjęto starania o uruchomienie starych nieużytkowanych żarn do przemiału zbóż na mąkę. Sprowadzono pewne ilości młynków do kawy, w których przemyślnie gospodynie męły podsuszone zboże na mąkę. Pluton Kedywu zniszczył maszyny omlotowe w majątkach Skorczyce i Popkowie. Wysłano również ostrzeżenia do burmistrza, agronoma i Komisji Kontyngentowej.

Wobec tego, że nie poskutkowały groźby i ostrzeżenia Komenda Placówki Armii Krajowej zmuszona została do podjęcia radykalnych kroków. Po zebraniu dowodów Sąd Polski Podziemnej wymierzył następujące kary: burmistrza i agronoma skazano na karę śmierci. Przewodniczącemu Komisji Kontyngentowej wymierzono karę chłosty. W celu zatarcia śladów o wysokości kontyngentów i ich realizacji spalono dwukrotnie akta w Urzędzie Gminy. Spalono również część dokumentów ze spisami meldunkowymi ludności w celu zapobieżenia wywóźce młodych, szczególnie mężczyzn, na przymusowe roboty do Niemiec.

A oto przykłady skutków wysokich kontyngentów i pozbawienia możliwości normalnego odżywiania ludności. Na gospodarstwo Adolfa Surdackiego nałożono wysokie kontyngenty. Na skutek niedożywienia u syna Wojciecha wystąpiło osłabienie kości i 1947 r. podczas gry w piłkę nastąpiło pęknięcie kości. Był operowany przez profesora Grucę. Pozostał inwalidą. Funio Prawicki wskutek niedożywienia nabawił się gruźlicy i zmarł w lipcu 1944 r. Podobny los spotkał jeszcze kilku mieszkańców Urzędowa, ale czas zatarł ślady.

Mimo zastosowanego terroru, władzom niemieckim udało się uzyskać wykonania ustalonych kontyngentów, i tak w roku 1942/1943 wskaźnik wynosił 87%, a w roku 1943/1944 – 93,8%.

Należy przypomnieć, że Komenda Placówki AK podjęła również kroki w celu przeciwdziałania wyniszczeniu pogłowia zwierząt gospodarskich. Oddajmy głos Stanisławowi Mazurkowi, który zapamiętał i zapisał: „W 1942 r. zmarła moja matka, a jako półsierota zmuszony zostałem do podjęcia nauki w warsztacie blacharskim u Feliksa Wójtowicza (żołnierza AK). Warsztat mieścił się w pożydowskim domu w Rynku. Pewnego dnia mistrz Feliks wręczył mi, ku memu zdziwieniu, pudełko z cechownikami od 1 do 10. Miały one służyć do wybijania numerów w kolczykach. Powiedział mi – »Oddaję w twoje ręce i masz je pilnować jak oka w głowie, by się nie zdradzić. Nasza robota będzie polegała na wykonywaniu 'lewych' kolczyków dla bydła i świń w celu zmylenia władz okupacyjnych co do pogłowia zwierząt u rolników«. Powiedział, że będę otrzymywał wzór kolczyków produkowanych przez Niemców. Zapytałem, gdzie mam to wszystko skryć? Odpowiedział: »To jest twoja sprawa«. Postanowiłem, że blachę do produkcji kolczyków będę przetrzymywał pod podłogą przy wejściu do warsztatu, a gotowe kolczyki w popielniku kuchni. W warsztacie były dwa pomieszczenia: w pierwszym pomieszczeniu znajdowały się gotowe wyroby przy drzwiach wejściowych, co pozwalało na obserwację wchodzących tam osób, natomiast naprawę i produkcję kolczyków wykonywałem w drugim pomieszczeniu. Zajęty cięciem blachy na kolczyki usłyszałem umówiony sygnał, to jest dwa stuknięcia nogą w podłogę. Przerwałem pracę i szybko schowałem rozpoczętą robotę. Usłyszałem, że do warsztatu wszedł Niemiec i po wypowiedzeniu słów »Guten Morgen« zadał pytanie dyżurującemu Cieślickiemu »Co tutaj robi?«. Bez zająknięcia odpowiedział, że przyszedł po zreperowany garnek. Wskoczyłem z drugiego pomieszczenia i wska-

załem garnek. Oczywiście był on własnością kogo innego. Niemiec rozkazał mi nalać do naczynia wody. Próba się udała. Z garnka nie ciekła woda. Niemiec sprawdził czy Cieślicki przyszedł po naczynia. Po chwili roześmiał się i odrzekł »Gut Polnische«. Egzamin zdaliśmy obydwaj”.

Praca przy produkcji kolczyków była bardzo niebezpieczna, bowiem groziła za nią kara śmierci, a w najlepszym wypadku wywózka do obozu. Pracą produkcji kolczyków kierował i nadzorował podoficer AK Mieczysław Cieślicki pseudonim Sójka. On załatwiał dostawę materiałów i kontrolował, jak idzie produkcja kolczyków. Dawał również dyspozycje o rozdawaniu kolczyków dla poszczególnych rolników. Po odbiór kolczyków zgłaszali się Stanisław Kędziora pseudonim Zawisza, który pełnił funkcję listonosza i Edmund Mazik pseudonim Szpulka. Obaj żołnierze AK. Dostarczali kolczyki innym zaufanym rolnikom, a ci z kolei przekładali je ze zwierząt większych na mniejsze. Ratowano w ten sposób część pogłowia od zagłady, a część można było przeznaczyć na mięso.

Produkcja kolczyków była sabotażem, a dzięki niej duża część pogłowia została uratowana do dalszego chowu. Niemcy nie zdawali sobie sprawy, że polscy rolnicy potrafią swoją pomysłowością wprowadzić w błąd okupanta w celu zaspokojenia potrzeb ludności. Nie chcieli dopuścić do wyniszczenia pogłowia. Ludzie ci, jak i właściciel warsztatu narażali się bardzo poważnie na represje ze strony okupanta, wykonując bardzo niebezpieczną pracę. Możemy ich określić mianem bohaterów tamtych czasów.

Od Redakcji: Autor tej relacji jest nieznany. Jej tekst przed około 30 laty dostarczył Stanisław Mazurek.

Marian Surdacki

Sylwester Buda

Urzędowiacy pod Monte Cassino

W „Głosie Ziemi Urzędowskiej” z 2014 roku przedstawione zostały sylwetki urzędowników walczących pod Monte Cassino, w bitwie, która jest jednym z najchwaleniejszych epizodów w historii oręża polskiego. W artykule Anny Wnuk pisanim w siedemdziesięciolecie bitwy przedstawione zostały sylwetki Ludwika Mareckiego, Stefana Wiąckowskiego, Waclawa Sadowskiego z Urzędowa oraz Jana Moryca z Zadworza i Waclawa Mazurkiewicza z Ostrowa. W roku 2015 przedstawiono sylwetkę żołnierza spod Monte Cassino Bronisława Piątka, który pochodził z Moniak. Nigdzie jednak nie spotkałem nazwisk moich krewnych walczących w tej bitwie. Byli to mój stryj Czesław Buda, syn Andrzeja z ulicy Wodnej, wuj Stanisław Grac (mąż Heleny z domu Buda), jego dzieci: syn Alfred i córka Maria, oraz wuj Edward Kramek, zięć Andrzeja Budy.

Stryj Czesław Buda czynną służbę wojskową odbył w Równem. Po jej ukończeniu pozostał dalej w wojsku w stopniu plutonowego. Razem z żoną i dwiema córkami mieszkał w Równem, gdzie miał własny dom. W styczniu 1940 r. został aresztowany przez NKWD i wywieziony na Wschód. Tam pracował przy wyrębie lasu. Po utworzeniu Armii Andersa wstąpił w jej szeregi, przechodząc szlak bojowy 2. Korpusu.

Wuj Stanisław Grac pochodził z okolic Niska. W Urzędowie znalazł się w 1915 r. jako legionista Piłsudskiego i kwaterował w domu Andrzeja Budy, gdzie poznał jego dwie córki. W wojnie 1920 roku walczył w obronie Warszawy. Miał stopień starszego sierżanta. Kiedy wojna się skończyła poszedł do cywila, przyjechał do Urzędowa i ożenił się Heleną Budówną. Za służbę w Legionach otrzymał na Ukrainie, w miejscowości Horochów, z parce-

lacji dworu 12 mórg pola i 1 ha lasu. Tam się pobudował i zamieszkał z rodziną. W tej wsi mieszkał jeszcze jeden osadnik – legionista Skorupa z Chruślanek.

Stosunki pomiędzy Ukraińcami a Polakami układały się wówczas dobrze. Latem, nie pamiętam, w którym miesiącu, NKWD aresztowało Stanisława i jego pełnoletnie dzieci: syna Alfreda i córkę Marysię. Po aresztowaniu rozdzielono ich i wywieziono na Wschód. Stanisław pracował przy wyrębie lasu, a syn i córka w kolchozach. Przez cały pobyt na zesłaniu nic o sobie nie wiedzieli.



Marysia Grac, pierwsza z prawej, córka Heleny Buda



Edward Kramek, 1949 r.

Kiedy gen. Anders zaczął tworzyć polskie wojsko, cała trójka wstąpiła w jego szeregi. Brali udział w bitwie pod Monte Cassino, Marysia była sanitariuszką w szpitalu polowym. Na gospodarstwie została żona z dwiema małoletnimi córkami, aż do momentu, kiedy Ukraińcy zaczęli mordować Polaków. Ostrzeżona przez jednego z Ukraińców, który przyszedł i powiedział: „Niech Pani zabiera dzieci i ucieka, bo tej nocy będzie rzeź”, zabrała co mogła i z dziećmi pojechała do Równego, do bratowej, a stamtąd do Urzędowa, do rodzinnego domu. Faktycznie tej nocy kto nie zdołał uciec został zamordowany. Po zakończeniu wojny jako rekompensatę za gospodarstwo pozostawione na Ukrainie otrzymała opuszczone gospodarstwo poniemieckie w Rudzie Górnej, dwa kilometry za Aleksandrowem Łódzkim, i tam wyjechała z Urzędowa.

Wuj Edward Kramek został zmobilizowany we wrześniu 1939 r., przeszedł kampanię od granicy polsko-niemieckiej do bitwy pod Tomaszowem Lubelskim. Po

przegranej bitwie przekroczył granicę polsko-rumuńską. Kiedy Rumuni pod naciskiem Niemiec zaczęły zamykać polskich żołnierzy w obozach, uciekł do Jugosławii, a następnie przez Iran dotarł do Włoch. W czasie bitwy o Monte Cassino został ciężko ranny, miał roztrzaskaną miednicę. Laska towarzyszyła mu na każdym kroku do końca życia. Po tym jak został ranny, przebywał w szpitalu i tam spotkał Marysię, która nic nie wiedziała o losach wuja, ojca i brata od momentu wywózki z domu. Zachęcił ją do poszukiwania rodziny w wojsku, bo był

przekonany, że będąc żołnierzami na pewno wstąpił do Armii Andersa. Po zakończeniu bitwy i zdobyciu klasztoru na Monte Cassino nastąpiła koncentracja kompanii tych żołnierzy, którzy przeżyli walkę. Wtedy to, po latach tułaczki, cała piątka z rodziny spotkała się. Uściski i lzy radości nie miały końca.

Po zakończeniu wojny stanęli przed dylematem: pozostać za granicą czy wracać do kraju?

Czesław Buda, nie mając żadnych wiadomości o rodzinie, która została w Równem, wyjechał do Argentyny i tam się osiedlił. Edward Kramek, który był wdowcem, gdyż jego żona Zofia zmarła po porodzie

jeszcze przed wojną, a synem Markiem zaopiekowała się jej starsza siostra, wyjechał do Szkocji. Tam powtórnie ożenił się ze Szkotką i pozostał na stałe. Zdobył zawód zegarmistrza, którego uczył się już przed wojną u swojego szwagra Józefa Budy. Skończył szkołę zegarmistrzowską i założył własny warsztat. W roku 1972 odwiedził Urzędów i był też moim gościem. Alfred Grac także wyjechał do Szkocji, ożenił się i pozostał na stałe. Stanisław Grac po zakończeniu wojny razem z córką Marysią przebywali we Włoszech. Nie dając za wygraną, szukali rodziny. Stanisław napisał list do nas, czyli do szwagra, z pytaniem czy nie mamy jakichś wiadomości o jego żonie i dzieciach. Po otrzymaniu listu i adresu do żony, wrócił z córką do Polski. Przez kilka lat wraz z żoną prowadził gospodarstwo rolne. Przeżył wojnę polsko-bolszewicką, Syberię, Monte Cassino, zginął od uderzenia pioruna, kiedy wracał z łąki od koszenia trawy.

Losy swoich kuzynów opisałem na podstawie ich opowiadania, tak jak je zapamiętałem.

Edmund Mazik

Wspomnienia z czasu wojny

Był niedzielny poranek 12 września 1943 r. Żandarmi niemieccy zaatakowali Urzędów, był to odwet za zabicie Niemca na drodze do Kraśnika. Najpierw Niemcy przeczesywali domostwa na Zakościelnym i na Górach, potem skierowali się na Skorczyce. Na Zakościelnym zabili Dzikowskiego i Osieckiego, a także Skórskiego i Dominika Gozdalskiego z Gór. Ponieważ była wtedy niedziela, w większości domów nie było mężczyzn (ojców), zwyczajowo wyręczali oni w święta dzieci z obowiązku pa-



Dominik Gozdalski

sienienia krów. Mój ojciec także był w polu. Niemiec wpadł do domu i łamaną polszczyzną zapytał o gospodarza. Mama odpowiedziała, że nie ma go w domu. Na tym wizyta Niemców w naszym domu się skończyła. Nie wszyscy mieli jednak szczęście. Na końcu Gór, bliżej Skorczyc, żandarmi zatrzymali brata mojej mamy Dominika Gozdalskiego, który pasł konie na łące. Był wtedy na przepustce jako junak zatrudniony w fabryce amunicji



Dominik Gozdalski, pierwszy z lewej

w Dąbrowie-Bór. Zabrali go do Skorczyc. W pobliżu zabudowań p. Skorupy urządzili prowokację. Kazali mu uciekać po to, żeby go zastrzelić. Miał wtedy zaledwie 20 lat. Dziadek mój, który go sam wychowywał od małego dziecka, jako że żona zmarła kiedy Dominik miał jeden rok, ciężko przeżył jego śmierć. Nie mógł w żaden sposób pogodzić się ze śmiercią syna. Następnie Niemcy w Skorczycach rozniecili pożar, żeby mieszkańcy przystąpili do gaszenia, tym sposobem zgarnęli kilkunastu mężczyzn, których rozstrzelali.

Drugie moje spotkanie z Niemcami miało miejsce w lipcu 1944 r. Wycofywali się wtedy na zachód różnymi drogami, także przez Góry. Zmęczeni, zatrzymali się koło naszego domu. Spotkali mojego ojca i kazali mu nanieść słomy do mieszkania. Był to nieduży oddział, około jednego plutonu żołnierzy. W tym czasie parę rodzin, wśród nich i ja z mamą, uważając, że jest to miejsce bezpieczniejsze niż dom, przebywało przez kilka dni w piwnicy na ziemniaki u pana Antoniego Wośki. Był z nami także wygnaniec ze Śremu pan Jurga, który znał język niemiecki. Niemiec rozkazał kobietom zebrać jajka i zrobić jajecznicę dla tego oddziału. Być może pan Jurga uratował nas od śmierci, tłumacząc o co chodzi Niemcom.

Niedługo potem ktoś doniósł, że gościńcem lubelskim od strony Ludwinowa zbliża się oddział Niemców. Okazało się, że byli to Ukraińcy służący Niemcom. Kilku sąsiadów, w tym moi rodzice, zabrali krowy i trochę dobytku i udali się w pole. Jak przekroczyliśmy gościńiec lubelski zobaczyliśmy kolumnę wozów konnych z ludźmi. Przybysze nie zaczepiali nas, jadąc do Urzędowa. Zatrzymaliśmy się w połowie drogi Góry-Ratoszyn. Po niedługim czasie usłyszeliśmy strzały z broni palnej, po czym zapanowała cisza. Domyślaliśmy się, że doszło do spotkania urzędowskich partyzantów z Ukraińcami. Nie wiedząc jaka jest sytuacja, mężczyźni uzgodnili, że trzeba zrobić zwiad co się dzieje w domostwach. Na zwiady udał się Jan Piotrowski, wrócił może po godzinie, mając ze sobą towarzysza. Był to Ukrainiec udający niemowę, którego Piotrowski spotkał gdzieś w okolicy lubelskiego gościńca. W międzyczasie grupa ocalałych Ukraińców wygonem udawała się w stronę Ratoszyna, przejeżdżając od nas w odległości około 500 m. Ten niby niemowa, któremu pokazaliśmy kierunek, w jakim udali się Ukraińcy, także udał się pieszo w tamtą stronę.

28 lipca 1944 r. do Urzędowa wkroczyła Armia Czerwona przemieszczająca się w kierunku Wisły. Część wojska, przeważnie starsi wiekiem, pozostało w Urzędowie do pilnowania i egzekwowania obowiązkowych dostaw zboża dla rosyjskiego wojska. Taki magazyn zbożowy Rosjanie zrobili z naszego domu, dużą izbę zasypano zbożem branym jako kontyngent. Zboże wsypywano przez okno do mieszkania, tak samo przez okno ładowano na samochody i wywożono na stację kolejową do Kraśnika. Sołtys wyznaczał ludzi do załadowania i rozładowania samochodów w Kraśniku.

Na błoni na Rankowskim, koło szkoły Rosjanie zorganizowali szpital polowy. Pobudowano namioty, wyświetlano filmy. Pamiętam, że mając 7 lat byłem razem z moją mamą na filmie, który miał tytuł *Czkałow*. Lżej ranni żołnierze chodzili po domach i pytali o gorzałkę. Po rozwiązaniu Armii Krajowej część oddziałów, wśród nich „Zapora”, nie podporządkowała się temu rozkazowi. Pamiętam, że wielu partyzantów kwaterowało na Górach, leczyli rany w kilku domach po bratobójczej potyczce koło

Owczarni, między innymi u Antoniego Sadowskiego. Nie brakowało wtedy chwil dramatycznych. Urząd Bezpieczeństwa, tzw. resort, wraz z wojskiem KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego) atakował partyzantów,

którzy uciekali w pole. Na polu pracowali ludzie, którzy też byli narażeni na nieszczęście, tak to został wtedy ranny w rękę Jan Piotrowski.

Urzędów, 18.11.2019

Marian Smok

Ku pamięci o niezłomnym i rodzinnych zaszłościach w PRL

Wspomnienia o niezapomnianym żołnierzu, partyzancie o pseudonimie „Bufor” – oddanym ojczyźnie do końca, niezłomnym żołnierzu AK w pierwszym okresie ZWZ.

Z chwilą wkroczenia Niemców do Polski w 1939 r. dwudziestoletni wtedy Mieczysław Smok złożył przysięgę na Boga i ojczyznę. Ślubował, że dotrzyma jej do końca i bronił będzie tych wartości do ostatniej kropli krwi. Przyjął pseudonim „Bufor” (od bliźniaczego mostka żeber w jego piersi).

Rodzinny dom „Bufora” był w Kraśniku – Suchyni, ale mieszkał tam krótko, bo do chwili przybycia Niemców do Kraśnika. W pierwszych dniach okupacji „Bufor” wraz z trzema towarzyszami – wszyscy byli z naszej rodziny – Jan Nowak, Salomen Jastrzębski, Kazimierz Dec (żołnierz Piłsudskiego – szwależer), postanowili słuchać w ukryciu (w stercie słomy) radia na baterie – o sytuacji i ruchach wojska. Niebawem jednak znalazł się zdrajca z sąsiedztwa i doniósł do Niemców. Żandarmi natychmiast przyjechali na koniach, z psami, zatrzymując trzech wymienionych. „Bufor” na chwilę poszedł do domu i to uratowało go przed aresztowaniem. Gdy zobaczył co się dzieje, wyskoczył przez okno i uciekł. Dwaj pierwsi zostali wywiezieni do obozu Auschwitz i tam zginęli. Natomiast wykupiony od Niemców, jeszcze przed wywózką, został mój wuj Kazimierz Dec. Jego rodzina prowadziła w Kraśniku restaurację i Niemcy wzięli za niego okup, wypuszczając go na wolność.

Po tym wydarzeniu „Bufor” wyniósł się na stałe do Urzędowa do rodziny Henryka Sabła na Górach. I tak podjął działalność konspiracyjną. Dowódcą jego został por. Cieszkowski („Grzechotnik”). Oddział przeprowadzał akcje odwetowe: w Kluczkowicach, gdzie „Bufor” brał udział wraz ze starszym od siebie stryjem Piotrem Smokiem („Mars”), wysadzenie pociągu z niemiecką obsadą w Leśniczówce, wysadzenie pociągu w Hrubieszowie (Bogumiła Adamskiego „Tygrysa” i Mieczysława Smoka „Bufora” na wsparcie akcji do pociągu w Wilkołazie wy-

woził koniem Jan Wośko). Po śmierci „Grzechotnika” „Bufor” został u dowódcy „Misia” (Michała Szaremeckiego). „Bufor” był w poniewierce całą okupację, od pierwszych dni wojny.

Przyszedł rok 1945 – okres wyzwolicieli–psubratów. UB i komuniści, wykorzystując osłonę NKWD, dokonali wielu mordów i egzekucji na naszych polskich patriotach. W roku 1945 w Kraśniku został zastrzelony ks. Stanisław Zieliński – przez znanego mieszkańcom ubeka Kapustę z Kraśnika. „Bufor”, będąc mieszkańcem miasta i parafianinem, zdecydował się pójść z Urzędowa do Kraśnika na pogrzeb. Po zakończeniu ceremonii na cmentarzu przy wyjściu „Bufor” został zatrzymany i aresztowany przez UB, a następnie uwięziony w piwnicach podzamcza. Znalazł się w towarzystwie wcześniej zatrzymanych kolegów. „Bufor” jako mieszkaniec Kraśnika dokładnie wiedział gdzie znajduje się ich cela. Uwięzieni postanowili wydrążyć dziurę w ścianie o grubości 80 cm (nie zachowała się informacja, w jaki sposób). Po kilku dniach osiągnęli cel i pod osłoną nocy podjęli ucieczkę. Pięciu chłopaków wyczołgało się na zewnątrz. „Bufor”, będący mocnej



Mieczysław Smok

postury, nie mieścił się w otworze i dopiero przy układzie: lewa ręka do przodu, prawa w tył – koledzy wyciągnęli Mieczysława. Po ucieczce przebiegli na Suchynię do domu rodzinnego „Bufora”. Po krótkim odpoczynku udał się Mieczysław z towarzyszami tej niedoli do swoich sąsiadów i kolegów – Janka i Wacka Żubrów, którzy mieszkali cztery domy dalej. Mieczysław „Bufor” prosił o pomoc, o podwodę. Długo nie zwlekając, zaprzęgli konia i wywieźli ich nocą do oddalonej o sześć kilometrów wsi Suchodoły, do swoich znajomych. Przyszedł ranek, nastąpił dzień. Ubowcy wpadli do domu mojego dziadka i zarazem domu „Bufora”. Dziadek, jak i wszyscy wraz z moim ojcem już i tak nie spali, spodziewając się najścia. Ubowcy w furii wytłukli naczynia, niszcząc wszystko, co wpadło im w ręce. Jeździli też wzdłuż drogi między Suchy-

nią a Wyżnicą, strzelając serie z automatów. Próbowali spłoszyć, ewentualnie sprowokować zbiegów. Po niedługim czasie „Bufor” wrócił do oddziału „Misia” i przeszedł na inną melinę – a było to gospodarstwo u legionisty Tomaszewskiego w Rankowskim. NKWD i UB węszyły za nim, wywieszono listy gończe ze zdjęciem w Rynku w Urzędowie i w Kraśniku, obiecując za ściganego 20 tys. złotych nagrody.



„Bufor” (w środku, oznaczony jako Mietek)

Po ucieczce „Bufor” stoczył z UB wiele walk, między innymi w Bęczynie, Ewuninie i innych miejscach. No i zaczęła się gehenna życia „spalonego” partyzanta, obywatela Polski. Nie było powrotu ani do domu, ani do normalnego życia. Jedna poniewierka za Niemców, a druga za nowych psubratów. I tak doczekał roku 1946. Ubecy podstępnie zorganizowali na niego zasadzkę. „Bufor” został zaproszony przez kolegę na wesele w jego rodzinie, które odbywało się w Skorzcycach. Mieczysław przyszedł na uroczystość, ale tego zapraszającego kolegi z Kraśnika nie było, gdyż tego samego dnia wyjechał do Szczecina. Podczas przyjęcia weselnego kobiety wpadły z krzykiem, że przyjechał „resort”. „Bufor” wyskoczył z domu, aby przebiec na sąsiednią posesję. Został jednak trafiony w biodro z erkaemu, wskutek czego upadł. Ubecy podeszli do rannego, a on wyciągnął pistolet. Ubeków było dwóch oraz furman powożący ze Słodkowa, który mi przekazał relację o tym wydarzeniu. Amunicja nie dała ognia. Parę dni wcześniej brał od tego kolegi zapraszającego na wesele amunicję do pistoletu. Także amunicja była podłożona przez ubeków, a ów kolega okazał się zdrajcą. Po kilku dniach rannego „Bufora” przewieźli do szpitala w Kraśniku, nie pozwalając podejść personelowi. Postawili na warcie przy łóżku rannego dwóch ubowców, co potwierdził dr doc. Dankiewicz – prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Będąc na dyżurze, nie mógł pomóc „Buforowi”. Po kilku dniach zabrali go na katowanie i tam w Kraśniku go dobili.

W sąsiedztwie mojego dziadka, ojca i stryja Mieczysława mieszkał ubowiec Bożek, który przychodził namawiać dziadka żeby wstąpił do nich, a włos z głowy mu nie spadnie, dostanie awans i uposażenie. Na to „Bufor” odpowiedział, że przysięgę składał przed jedynym Panem, a dwóm służyć nie będzie. „Bufor” wiernie dotrzymał przysięgi do końca, nie łamiąc słowa – przysięgam, ani nie zdradzając kolegów w ostatniej chwili życia, na co ubowcy czekali, nie pozwalając personelowi szpitala zając się rannym.

Niestety wielu kolegów Mieczysława się „skundliło”. Podczas pobytu w szpitalu „Bufor” powiedział do salowej żeby nie wierzyła ani nie ufała kolegom i koleżankom. Bo on kolegom ufał, a oni zostawili go na pożarcie zdziczałym psom i psubratom. Taki morał, że jak „Bufor” był zdrowy to był potrzebny i miał kolegów, a potem każdy myślał tylko o sobie. „Bufor” był żołnierzem-partyzantem „nie pisany palcem na wodzie”, zaczął walczyć w wieku 20 lat zaraz po wybuchu wojny. Inni wykorzystali to w obecnych czasach, zbierając wielokrotnie niezасłużone laury za tych, którzy odeszli. Taki jest finał opowiadania o kolegach i w niejednym przypadku zakłamaney historii, w której się pisze, że bohater to – JA.

Za pomoc w oddaniu ciała ubowiec Bożek, sąsiad „Bufora”, został wyrzucony z UB.



Ciało Mieczysława Smoka odzyskane przez rodzinę

O koleżeństwie „Bufora” i jego oddaniu ojczyźnie wspominał podczas wręczania mi legitymacji żołnierskiej WiN kolega z okresu okupacji niemieckiej Bogumił Adamski „Tygrys”. Powiedział do mnie takie oto słowa: „Na stryju twoim można było polegać jak na Zawiszy Czarnym”. Obecny był wtedy Stanisław Gajewski – prezes WiN obwodu Urzędów.

Moja rodzina była bardzo oddana patriotyzmowi i ojczyźnie. Dziadek F. Mokrzyński (ojciec mojej matki) został wysłany na Sybir za konspirację z AK i produkcję butelek zapalających na akcję „Burza”. Na szczęście został wykupiony z transportu za dużą sumę pożyczonych pieniędzy, za wstawiennictwem jednego z komunistów, z tym, że był już po „badaniach” NKWD. Natomiast brat mojej matki Jan Mokrzyński w czasie wyborów w Urzędowie w 1947 r. został postrzelony na Rynku przez ormowca z Moniak Smętka i był ciężko ranny. Rodzina nasza przez długie lata była napiętnowana przez władzę ludową. Nie mieliśmy prawa do korzystania z dóbr obywatelskich, a prawa obywatelskie były zabierane przy najmniejszej okazji – nie były one dla nas i nie dla mnie, o czym przesądzało nazwisko, którego ubowcy i siewcy władzy komunistycznej nie zapomnieli. Po zamordowaniu stryja Mieczysława – brata ojca, rodzina przez długie lata była inwigilowana i otoczona psubratami wszelkiej maści. Ojciec był trzykrotnie aresztowany – ostatni raz w 1951 r. za puszczanie w eter podczas wykonywania pracy w radiowęźle w Urzędowie Radia Wolna Europa na kołchoźniki (głośnik – radio – obowiązkowe w każdym domu).

Stanisław Gajewski

Wspomnienia i refleksje

Kontyngenty powojenne

W czasie okupacji niemieckiej, w latach 1939–1944, rolnik polski prześladowany był kontyngentami. Miał obowiązek dostarczać Niemcom wszystko, co było wyprodukowane w gospodarstwie. Przyszła druga okupacja, sowiecko-ubowska w latach 1944–1956. Rolnik, który miał większe gospodarstwo, uważany był za wroga, kulaka – obszarnika. Każdy rolnik obarczony był w dalszym ciągu kontyngentami, zwano je tylko obowiązkowymi dostawami. W tych obowiązkowych dostawach mieściło się zboże, żywiec, mleko, SFOR pieniężny (Społeczny Fundusz Odbudowy Rolnictwa). Te obowiązki obliczane były według posiadanych hektarów. Do tego dochodził podatek gruntowy. Jeżeli rolnik nie dawał rady obowiązkowi, zabierano mu ziemię i tworzono na wzór sowiecki spółdzielnie produkcyjne, zwane potocznie kolchozami. W teren wysyłano pełnomocników, którzy mieli za zadanie zakładać kolchozy.

Rolnicy jak tylko mogli starali się regulować obowiązki, aby chronić swój dobytek. W jakiś sposób dowiedzieli się, że istnieje możliwość kupienia zboża na ziemiach odzyskanych, zdania go w tamtejszych magazynach, a do gminy można przywieźć tylko kwity, że się uregulowało obowiązkowe dostawy.

Po swoim ożenku w 1952 r. miałem gospodarstwo rolne około 14 ha. Razem z Piotrem Sabłem z Gór, Celiną Cieśliką z Rankowskiego i jeszcze jedną osobą, której nazwiska już nie pamiętam, zdecydowaliśmy się pojechać za kupnem zboża do Ornety w województwie olsztyńskim. Zakwaterowaliśmy się tam u rodziny Żyźniewskich pochodzących z Urzędowa. Rodzina Żyźniewskich nie była zbyt zamożna żeby przez kilka dni gościć cztery osoby, toteż szybko kupiliśmy i odstawiliśmy do magazynu zboże, przywieźliśmy kwity i tym sposobem obowiązkowe dostawy zostały załatwione.

W następnym roku razem z Piotrem Sabłem pojechaliśmy do Morağa. We wsi Małdyty zakwaterowaliśmy się u bardzo miłego, dość zamożnego rolnika Malinowskiego. Kupiliśmy po około 100 metrów (kwintali) zboża, tyle było nam potrzeba, nie tylko dla siebie, ale i dla rodziny oraz sąsiadów, którzy dali nam pieniądze, żeby i im sprawę załatwić. Pojawia się pytanie dlaczego w województwach na ziemiach odzyskanych można było kupić dużą ilość zboża? Tamte województwa zwolnione były przez rząd PRL z obowiązkowych dostaw. Podatki były dużo niższe od tych w województwie lubelskim. Rządowi zależało, żeby osadników zachęcić i zadomowić na ziemiach zachodnich.

Na kolejną wyprawę w sprawie kupna zboża wybrałem się wraz ze Stanisławem Bogusławskim z Rankowskiego. Stanisław zamierzał kupić ponad 100 metrów zboża dla zięcia i synów. Ponownie pojawiliśmy się u państwa Malinowskich w Małdytach. Pojawiły się jednak trudności. Pan Malinowski poinformował nas, że słyszał,

iż magazynom nie wolno bez zgody miejscowego wójta gminy przyjmować zboża od obywateli z innych województw. Ponieważ pan Malinowski miał dobrą znajomość z wójtem, za naszą zgodą zaprosił go na sutą kolację. Okazało się, że wójt, człowiek uprzejmy, miły, szlachetny, godzi się dać nam zezwolenie na kupno i złożenie zboża w miejscowym magazynie. Kiedy następnego dnia rano poszliśmy ze Stanisławem do gminy, wójt nas już nie zna i nie godzi się na nic. Aby pozbyć się natrętów, wysłał nas do Morağa, do wyższych władz w powiecie. Kiedy mówimy skąd jesteśmy i po co przyjechaliśmy nazywają nas szmuglerzami i wzywają MO. Uciekamy stamtąd i wracamy do wójta z kłamstwem, że mamy pozwolenie ustne i wójt może nam wydać upragnione pozwolenie na zakup i sprzedaż zboża w magazynie. Przestraszony Stanisław Bogusławski nie chce iść do oszusta wójta i chce jechać do domu. Idę sam i plotę bajkę o ustnym pozwoleniu. Wójt wypisuje pozwolenie na kupno 100 kg zboża. Z tym zaświadczeniem idę do magazynu zboża. Magazynier poznał mnie z poprzednich lat, serdecznie się powitaliśmy. Przedstawiłem mu sprawę i pokazałem przed chwilą otrzymane pozwolenie na 100 kg zboża, które mam złożyć w tym magazynie. Obydwaj ubolewamy nad wielkim chamstwem wójta. Magazynier, lat około 40, ale szlachetny, mówi: „Niech Pan kupi zboża ile Panu trzeba, a ja wieczorem zboże przyjmę do magazynu, kiedy wójt pójdzie po pracy do domu”. Mówię mu, że jest nas dwóch i tamten też ma kupić dużą ilość zboża. Magazynier godzi się przyjąć 200 metrów zboża. Dołączyłem do Stanisława, który siedział w krzaczkach całkiem zrezygnowany. Poszliśmy na odpoczynek do państwa Malinowskich. Przy wspólnej kolacji boję się źle mówić o wójcie. Państwo Malinowscy widząc, że coś ukrywam, a Stanisław milczy, proszą mnie o szczerość. Opowiedziałem o wszystkim. Malinowscy, wprost niedowierzając, wyrażają się o wójcie niepocholebnie.

Na drugi dzień rano idziemy ze Stanisławem w teren za kupnem zboża. Wieś Małdyty dzieli się na dwie części. Ustalamy, że jeden idzie na jedną część, drugi na drugą, a kupiwszy zboże spotkamy się ze swoimi furmankami w oznaczonym miejscu. Jeden, obojętnie jak długo, poczeka na drugiego i do magazynu pojedziemy razem. Umawiamy się, że w worki sypiemy po 70 kg, żeby nie dźwigać. Stanisław kupił ile mu było trzeba, około sto metrów. Przyjechał ze swoim taborem w umówione miejsce, a mnie tam jeszcze nie było. Nie mogąc się na mnie doczekać, pojechał ze zbożem do magazynu. Magazynier, nie znając człowieka, po prostu wypędził go, nie słuchając jego słów. Zdenerwowany Stanisław i furmani jadą z powrotem, niesamowicie klnąc. Dojeżdżają w umówione miejsce, gdzie ja czekam ze swoim taborem. Furmani Stanisława z batami do mnie. Uspokajam i pytam czemu Stanisław nie dotrzymał słowa i wcześniej pojechał do magazynu. Furmani Stanisława buntują się, nie chcą ponownie jechać do magazynu. Stawiam wszystko na

jedną kartę, mówiąc do nich: „Jeżeli magazynier nie przyjmie z waszych furmanek zboża, to wasze zboże i wasze pieniądze”. Chłopi przyjęli warunek. O zmroku około 20 furmanek jedzie w stronę magazynu zbożowego. Niedaleko magazynu zatrzymuję kolumnę, a sam biegnę w stronę budynku.

Magazynier otwiera magazyn. Dwóch furmanów pilnowało żeby podjeżdżać pojedynczo, dwóch na wozie, a reszta w magazynie odbierała worki i rozsypywała zboże w miejsca wskazane przez magazyniera. W przeciagu 40 minut wszystkie worki zostały opróżnione i furmani rozjechali się do swoich domostw. My ze Stanisławem udaliśmy się na nocny odpoczynek do państwa Malinowskich. Rano pożegnaliśmy się z gospodarzem, poszliśmy do sklepu, żeby „zaopatrzyć” teczkę i poszliśmy do magazynu. Magazyn tego dnia był zamknięty, na drzwiach widniał napis: „Magazyn nieczynny z powodu choroby”. Po małym śniadaniu w magazynie dokonaliśmy rozliczenia, napisali kwity na rolników w Urzędowie. Rozliczenie to trwało około 4 godzin. Około 13.30, kiedy wypatrzyłem, że wójt poszedł na obiad, wyskoczyłem do banku. Przeprosiłem niedługą kolejkę, włożyłem głowę w okienko i poprosiłem bankowca o załatwienie sprawy pieniężnej, 10% dla niego za szybkie załatwienie i wyszedłem. Za godzinę znowu ukradkiem w banku wziąłem pieniądze i kwity. Po załatwieniu sprawy wróciłem do magazynu, gdzie obiadowaliśmy do późnego wieczora i wszyscy trzej zanocowaliśmy. Około 17 mieliśmy pociąg do Warszawy. W tym samym czasie przechodził Pan Wójt, więc z uśmiechem, wielce uprzejmie mu się ukloniliśmy. Czy się czegoś domyślał, tego nie wiemy. Na drugi dzień przed wieczorem, obydwaj ze Stanisławem byliśmy każdy w swoim domu i rozliczyliśmy się z powierzonych nam obowiązków.

Przez wiele miesięcy rodzina Bogusławskich dziękowała mi za sprytne załatwienie sprawy. W następnych latach wyjazdy na ziemię odzyskane za kupnem zboża były już niemożliwe. Rolnicy różnie kombinowali, jak regulować swoje obowiązkowe dostawy. Jeździli po jarmarkach, kupowali stare, niedołążne i niezdatne do chowu bydło i odstawali państwu jako żywiec. Inni odstawali wełnę, ale wykryto aferę i wiele osób siedziało w więzieniach. Rząd PRL szalał, nakładał na rolnika ogromne ciężary. Któregoś dnia, nie pamiętam daty, do naszego domu weszło dwóch urzędników w sprawie obowiązkowych dostaw. Jeden z gminy, Czesław Michalczak, a drugi obcy, tak srogi, że nie pozwalał do siebie nic powiedzieć. Pokazywałem różne kwity na dostawy zboża, żywca, wełny, ale nic do niego nie docierało. Zbliżała się pora obiadowa. Żona moja gotowała obiad. Widać było, że są głodni. Delikatnie zapytałem, czy by się nie poczęstowali po talerzu zupy? Szalony urzędnik mało nie czepił się mnie bić, że chcę ich przekupić. Delikatne słowa Czesława i moje uspokoiły go tak, że pozwolił żonie postawić talerze z zupą. Kazał jednak żonie zasłonić okna i zamknąć drzwi. Ja postawiłem na stół butelkę z wódką. Pierwsze kieliszki wypiliśmy w wielkim strachu. Żona postawiła drugie danie, a ja drugą butelkę. Lęk malał. Srogi urzędnik pyta Czesława: „Jak byśmy mogli pomóc temu rolnikowi?”. Czesław podpowiada: „Jest zamiennik na grykę. Jeżeli gryka jest kontraktowana, to za 1 kg

gryki 10 kg zboża w obowiązkowych dostawach”. Pyta urzędnik: „Czy macie grykę?”. Odpowiadam: „Mam”, chociaż nie miałem ani jednego kilograma. Pyta czy kontraktowana? Odpowiadam, że nie. Czesław sięga do teczki i wyciąga druk na kontraktowaną grykę. Wypełniliśmy i podpisali druk wspólnie. Kiedy skończyliśmy drugą butelkę, chcę postawić trzecią, ale urzędnicy nie pozwalają w obawie, że mogą się chwiać. Srogi urzędnik pisze kwit, że gryką uregulowana została całość moich obowiązków. Jutro mam pójść do urzędowskiego banku po pieniądze za odstawioną grykę. Obcy urzędnik mówi, że jak wezmę pieniądze to mam przyjść do cichej knajpki „Stasia” i tam się rozliczymy. Przyszedłem z pieniędzmi do „Stasia” i w ciemnym pokoiku tak rozliczaliśmy się, że wszystkie pieniądze zabrał Staś, a my chwiejącym krokiem udaliśmy się każdy w swoją stronę. Takie to były czasy.

Pomnik a nie grób

Rok 1968. W domu Ireny i Stanisława Gajewskich w Zakościelnym 183 zamieszkali inżynierowie geodeci, gdyż przygotowywali grunty urzędowskie do scalenia. Jeden z inżynierów (jeżeli nie mylę nazwiska i imienia) nazywał się Tadeusz Bartoszek, mieszkał w Lublinie na ulicy Probstwo. Z inżynierem Bartoszkem byliśmy zaprzyjaźnieni. Scalenie gruntów w Zakościelnym prowadził Józef Bocian, który zamieszkiwał po sąsiedzku, u Zygmunta Krasińskiego. Pan Bocian darzył mnie zaufaniem, dlatego gdy miał jakieś kłopoty, to prosił mnie, abym mu towarzyszył.

W Zakościelnym stała wysoka górką, obrośnięta drzewem morwy, a na jej szczycie stał betonowy pomnik z krzyżem i płytą z napisem. W czasie I wojny światowej wojska rosyjskie, wycofując się, paliły budynki. Jeden z mieszkańców Zakościelnego, mający karabin, wbiegł na szczyt górkę i zlikwidował ruskiego podpalacza. Na jego cześć społeczność Urzędowa postawiła pomnik na szczycie owej górkę.

Geodeta Józef Bocian zmuszony był przydzielić górkę jej sąsiadowi, Kazimierzowi Tomaszewskiemu. Ten jednak nie zgadzał się na to. Geodeta nie miał komu innemu jej przydzielić. Za górką, od strony północnej były źródła wodne, gdzie ludzie poili bydło, a nawet brali wodę na użytek domowy. Tomaszewski kategorycznie nie wyrażał zgody na przejęcie górkę. Aby miejsce górkę zamienić na działkę budowlaną, należało ją zniwelować i na taki warunek Tomaszewski się zgodził. Na koszt gminy pomnik rozebrano i zsunięto na dół, zniwelowano górkę i zasypano źródła. Posypały się skargi do różnych instytucji o rzekome zbezczeszczenie kości ludzkich, jednak nikt ich tam nie widział. Kazimierzowi Tomaszewskiemu groziła sprawa prokuratorska. Namówiłem Kazimierza, żebyśmy pojechali do Lublina do inżyniera Bartoszka. Żeby nas nie posądzono, że jesteśmy w zmo-wie, Kazimierz poszedł do Urzędowa i wsiadł do autobusu jadącego do Lublina (usiadł na tylnych siedzeniach), a ja wsiadłem na przystanku w Zakościelnym i usiadłem blisko kierowcy, niby się nie widząc z Tomaszewskim. W Lublinie poszedłem bocznymi ulicami w stronę ulicy Probstwo, a Kazimierz główną ulicą – Lubartowską. Tam zatrzymał się na przystanku autobusowym, żeby

widzieć mnie jak wejść w ulicę, na której mieszkał inżynier. Zaczekałem za zakrętem ul. Probostwo, aż dotarł do mnie Kazimierz. Razem weszliśmy do inżyniera Bartoszką. Ochoczo przyjęci, rozpoczęliśmy rozmowę przy skromnej herbatce, przywiezionej z Zakościelnego. Pan inżynier powiedział, że wyśle delegację geodezyjną, aby rozpoznała sprawę. Z córką Kazimierza – Basią – umówiliśmy się, że będziemy obserwować, do którego urzędu w Kraśniku geodezyjna delegacja zawita. Basia wypatrzyła i poinformowała mnie, gdzie delegacja weszła i jakim samochodem przyjechała. Poczekałem przy ich samochodzie. Gdy do niego wsiadali, udając, że nie wiem kim są, zapytałem: „Może Panowie do Urzędowa? Bo bardzo mam pilną sprawę, a do autobusu nie czas”. Panowie zaprosili mnie do samochodu i w podróży pytają gdzie mieszkam. Odpowiadam, że w Urzędowie, przedmieście Zakościelne. Rozpoczęła się rozmowa o Kazimierzu Tomaszewskim i o górcę, na której stał pomnik. Opowiadam znowu sprawę: „Na środkowej części pomnika jest napis, w jakim celu pomnik powstał”. Dojeżdżając do Urzędowa, wysiadłem przy magazynach G.S. Delegacja rozpoznała sprawę na miejscu.

Na temat źródeł wodnych w dalszym ciągu skargi. Jadę konną furmanką od Urzędowa, idzie pani Maria Tomaszewska – żona Kazimierza, więc zapraszam ją na furmankę. Ujechaliśmy około 500 metrów i widzę, że idzie dwóch panów – mój kolega inżynier Bolesław Kołtun ze swoim kolegą. Bolek jest inżynierem melioracji i z pewnością zmiierzają do Tomaszewskich. Przeprosiłem panią Marysię aby wysiadła, a ja pospieszam konie i zapraszam na wóz panów meliorantów. Z uciechą wsiedli i zaczęliśmy rozmawiać o źródłach, o skargach związanych z nimi. Zaproponowałem im, aby obserwowali podwórza skarżących czy mają studnie. Przy budynkach Tomaszewskich zsiadli, a kolega Bolek obiecuje mnie odwiedzić, gdyż mieszkam około 1500 metrów dalej. Melioranci rozpoczęli sprawę, a córka Tomaszewskich przybiega do nas z poczęstunkiem dla gości. Skarżący posiadają własne studnie na podwórzu, a Konstanty G. ma studnię i staw rybny połączony z owymi źródłami. Staw jest nielegalny, za co groziła kara. Dzięki interwencji geodetów skargi ucichły.

Tomaszewscy wylali z cementu fundament pod pomnik. Listonosz przyniósł im pismo z prokuratury zabraniające odbudowy pomnika. W Kraśniku miałem kolegę inżyniera, któremu opowiedziałem o kłopotach u Tomaszewskich. Poradził mi w tajemnicy: „Weź ze sobą dwóch mocnych chłopów i w nocy postawcie pomnik, aby nikt was nie rozpoznał. Postawionego już pomnika nikt nie rozbierze”. Z wiadomością tą poszedłem do Tomaszewskich. Kazimierz z synem pracują w Fabryce Łożysk Toczonych w Kraśniku, musieli załatwić sobie nocną zmianę, aby mieć dobre alibi, a my w tym czasie złożyliśmy pomnik. W pochmurny wieczór Tomaszewscy poszli do fabryki, a my w składzie: Ludwik, Stanisław, Zygmunt Dzikowscy i ja przystąpiliśmy do działania. Niskie płyty przesuwaliśmy z niewielkim trudem. Wielką część z napisem postawiliśmy resztkami sił. Część, która była fundamentem pod krzyż, musieliśmy położyć nad płytą główną. Owy fundament był bardzo ciężki, a wysoko, a byliśmy nie potężni, średniego wzrostu. Pierwsza próba nieudana, druga nieudana. Przychodzi chęć rezygnacji,

ale namawiam kolegów jeszcze raz i przy pomocy Boga, z modlitwą udało się złożyć fundament nad płytę. Krzyż był o wiele lżejszy, złożyliśmy wszystko i pomnik stoi. Mocno po północy poszliśmy do swoich domów. Marysia Tomaszewska truchlała, nie spała całą noc. Rano o świcie siostra Kazimierza – pani Witkowska zauważyła cud. Przybiegła pod okno Tomaszewskich i krzyczy: „Marysiu, cud, pomnik stoi”. Kazimierz z synem wracają z pracy i widzą, że pomnik jest złożony. Brudny stoi tydzień i nikt go nie rozbiera, więc Kazimierz zabrał się do czyszczenia, odnawia tablicę z napisem i nikt nie przeszkadza mu w tym. Niedługo pomnik zostaje ogrodzony pięknym płotkiem. Pani Marysia nasadziła kwiatów, zostały postawione ławki, a każdego roku w maju mieszkańcy odprawiają majówki. Najwięcej w tych sprawach pomógł Bóg.

Alkohol zgubą ludzkości. Refleksje starszego człowieka

Alkohol istniał od niepamiętnych czasów. W czasie II wojny światowej okupant niemiecki płacił za dostawę kontyngentu wódki. W ten sposób wyniszczał okupowanego. Niemcy nawet pozwalali pędzić samogon, tak zwany bimber. Producenci alkoholu, niektórzy tak głupi, bielili beczki na zacier wapnem, a nawet dolewali jakiejś trucizny żeby bimber palił w gardle. Miało to oznaczać tęgość wódki. Partyzanci Armii Krajowej nie pozwalali pędzić samogonu.

Pamiętam wojsko niemieckie i wojsko sowieckie. Żołnierz niemiecki jak znalazł się na wsi nie służbowo to pytał o jajka i mleko, a żołnierz sowiecki o „gorełkę” i „sało”. Za wódkę oddawał odzież, a nawet broń. Dowództwo, przygotowując żołnierza do boju, piło go wódką. Pjany żołnierz szedł na oślep, tylko „wpieriod” i „wpieriod”, bo za nim szła żandarmeria NKWD i gdyby żołnierz chciał się cofnąć to od enkawudzisty dostałby kulę. Jednym słowem dzicz. Kiedy było natarcie celem przekroczenia Wisły w Kazimierzu, żołnierze sowieccy, chcąc przekroczyć rzekę, wsiadali na byle deski, drzwi, wrota od stodół, a nawet snopki słomy i szli w wodę. Niemcy osadzili karabiny maszynowe na wzgórzu po drugiej stronie Wisły i siekli wojsko sowieckie niemiłosiernie. Skutkiem tego woda w Wiśle płynęła czerwona, a z trupów powstał zator. W Józefowie Sowicy Wisły nie przekroczyli. Przyczyną tak ogromnych strat i powstania wielkich cmentarzy rosyjskiego wojska była w dużej części wódka.

Po wojnie ludzie w dalszym ciągu nie bardzo zmądrzeli. Organizowali przyjęcia bezalkoholowe, kiedy tak wypadało, na przykład podczas prymicji albo pierwszej komunii świętej. Przyjęcia takie były wielkim fałszem, bo goście pili alkohol w innych butelkach lub poza domem przyjęcia. Zamiast Boga pojawiała się pijaństwo. Wielkim wrogiem alkoholu w naszej parafii był ksiądz kanonik Aleksander Baca. Ksiądz nawet wchodził do restauracji, zawstydział pijących i to między innymi spowodowało, że pijący zabili żerdziami kościół i plebanie, gdzie ksiądz był proboszczem. Ksiądz Aleksander musiał opuścić parafię, co dla Urzędowa jest wielką hańbą. Alkoholizm zbiera żniwo w małżeństwach, powodując rozwody, jest też przyczyną wypadków drogowych, zwłaszcza wśród młodzieży.

Stanisław Skórski

Ocalić od zapomnienia

Prezentowane zdjęcie ma w momencie pisania tego wspomnienia równo sześćdziesiąt lat. Wszyscy jesteśmy w jedenastej wówczas klasie i „za moment” zdawać będziemy egzamin maturalny. Zdecydowana większość z nas ma po osiemnaście lat i można powiedzieć – porównując to z paroma rocznikami wcześniejszymi – jesteśmy klasą normalną, w normalnym trybie kończąca w czerwcu 1952 r. Szkołę Ogólnokształcącą Stopnia Licealnego w Urzędowie, czyli, jak się na co dzień mówiło, „gimnazjum”.

Naukę w liceum rozpoczęliśmy w roku szkolnym 1948/1949 i wówczas była to szkoła prywatna, a jej oficjalna nazwa to: Prywatna Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego im. Ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego w Urzędowie; stąd też za naukę płacono co miesiąc tzw. czesne aż do końca 1951 r., czyli do momentu upaństwowienia szkoły. W klasie ósmej (pierwszej licealnej) było nas ponad czterdzieści osób. Nauka odbywała się w różnych salkach budynków już dziś nieistniejących oraz później w Domu Ludowym. Normalnej szkoły w rozumieniu dzisiejszym nie było. Wtedy nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że mogłoby być inaczej. Pokiereszowana i zdruzgotana przez wojnę i okupanta polska oświata dźwigała się dosłownie z ruin i zgłiszcz materialnych i osobowych. Braki te zastapiono hartem ducha i wolą pracy – można powiedzieć za pozytywistami – „od podstaw”. Uczono się więc w warunkach, które dla dzisiejszego ucznia są nie do wyobrażenia, a tylko drobnym przykładem niech będzie to, że każdy uczeń miał własne krzesło przyniesione z domu. To jednak drobnostka. Niedostatek właściwych sal lekcyjnych oraz ich wyposażenia, podręczników szkolnych i kadry nauczycielskiej był widoczny na każdym kroku, ale nie miał wówczas istotnego znaczenia w warunkach urzędowskiego liceum. Istnienie tej szkoły było oświatowym i cywilizacyjnym awansem Urzędowa i okolic. Nawiazywało do czasów jego historycznej świetności, a młodym dawało bilet – przepustkę ku przyszłości innej niż ich rodziców.

Zdjęcie prezentuje szesnaście osób, a przecież na początku nauki w liceum było nas ponad dwa razy więcej. Różne były przyczyny kurczenia się zespołu klasowego. Jedni rezygnowali z dalszej nauki, inni przynosili się do innych szkół i tylko tej garstce przypadł obowiązek zdawania egzaminu dojrzałości, co dla nas było nie tylko wyzwaniem, ale i miarą dorosłości. Dołączaliśmy bowiem

do paru roczników tej szkoły wcześniej ją kończących.

W czasie tych czterech lat podstawowym celem była nauka, ale przecież obok toczyło się „normalne” w tamtych czasach życie społeczne, gospodarcze i polityczne i ono, nie mimo woli, ale wprost, wkraczało do naszej szkoły i wciągało nas w swe tryby. Była akcja likwidacji analfabetyzmu, wówczas niektórzy z nas, uczniów, stawali się „nauczycielami”. Dostawaliśmy wytyczne oraz elementarze i ruszaliśmy w teren z wykazami analfabe-



Od lewej stoją: Janusz Cieśliski, Józef Pietrzyk, Gustaw Witek, Daniel Gola, Adolf Pęczkowski, Czesław Rzepecki, Ludwik Gruchalski, Zygmunt Grzebuła. Siedzą od lewej: Barbara Lizinkiewicz, Stanisław Skórski, Janina Gozdalska, Feliksa Wojtuszkiewicz, Antoni Kuśmiderski, Teresa Cieślicka. Pozostali od lewej: Henryk Bogdański i Dionizy Krasiński

tów, których mieliśmy uczyć czytania i pisania. Różne były efekty tej akcji. Niejeden z nas, „nauczycieli”, był potraktowany „honorowo” przez gospodynię, żonę domniemanego analfabety, tj. miotłą stojącą w kącie izby z poleceniem: „Żebyś mi się tu więcej nie pokazywał”. Ten afront był dla nas korzystny z różnych względów, a ponadto i wówczas zrozumieliśmy, gdyż jednym z głównych bohaterów elementarza był „batiuszka” Józef Stalin.

W roku 1950 przeprowadzany był w Polsce spis powszechny, pierwszy po wojnie o całościowym zasięgu. Byłem wówczas w dziesiątej klasie i między innymi licealistami wyznaczony na komisarza spisowego. Po krótkim przeszkoleniu wyjechałem podwodą do Popkowic i tam przez tydzień wraz z nauczycielką tamtejszej szkoły dokonywaliśmy spisu. Na ten czas miałem przydzieloną kwaterę u jednego z gospodarzy i tam nocowałem. Można by to wszystko pominąć, ale chcę zwrócić uwagę na atmosferę, jaka towarzyszyła temu bądź co bądź normalnemu spisowi gospodarczemu. W sytuacji niepewności i zagrożenia podstawowej egzystencji życia na wsi, a w szczególności stosunków własnościowych, co wynikało z przymusowej kolektywizacji, mieszkań-

cy obawiali się wszystkiego i z nieufnością traktowali poczynania władzy. Stąd też w czasie spisu odpowiedzi rolników w niektórych punktach były niemalże identyczne i nie odzwierciedlały faktycznego stanu posiadania.

Wymownym przykładem niech będzie odpowiedź na pytanie: „Ile jest kur?” – „Dziesięć”. Ponieważ kolejno padała odpowiedź: „Dziesięć”, więc wpadliśmy na pomysł, by zapytać i o koguta, wychodząc z założenia, że kogut to też „kura”. A więc pytanie: „A kogut?”. „Jest i kogut” – pada odpowiedź. „Czyli wszystkich kur jest jedenaście” – podsumowujemy. „Jedenaście” – słyszymy w odpowiedzi. Do końca już spisu każdy ze spisywanych miał doliczanego koguta. Humorystyczny to dzisiaj może mieć wydźwięk, ale wtedy to takie humorystyczne nie było, o czym się sam przekonałem. W owych Popkowicach miałem rodzinę i dzięki niej ludzie mieli do mnie zaufanie, więc kiedy wracałem na nocleg, mówili mi o swych obawach i pytali o zdanie. Co ja mogłem im, wówczas szesnastolatek, odpowiedzieć? Traktowałem jednak ich niepokoje poważnie.

W tym licealnym czteroleciu „społecznych prac” warto jeszcze przedstawić charakterystyczną dla owych lat działalność organizacji młodzieżowych. Był to rok 1950 lub 1951. Przez dyrektora szkoły zostałem wysłany na Leszczynę z jakimś nieznanym mi „działaczem” młodzieżowym w celu zorganizowania tam zebrania ZMP. Sam nawet wtedy nie byłem członkiem tej organizacji, ale to chyba dla nikogo nie miało jakiegokolwiek znaczenia. Przydzielono nam podwodę i pojechaliśmy. Mój nowy „kolega” nie wyglądał z wieku na młodzieżowca, ale to też wtedy nie było ważne. Na miejscu pytamy o przewodniczącego i idziemy pod wskazany adres. Nie zastajemy go. Jego siostra odpowiada, że nie wie, gdzie jest. Kraśnicki delegat wyjaśnia cel wizyty i prosi dziewczynę o pomoc w zorganizowaniu zebrania. Ja zostaję wysłany na wieś, by spod wskazanych adresów sprowadzić aktualnych i ewentualnie przyszłych członków. Jak sam wyszedłem, tak i sam wróciłem. Nikogo z młodych w tych domach nie było. Wszyscy się gdzieś ulotnili. Wracając po pewnym czasie, widzę mojego druha ze szklanką bimbru w jednej ręce i pajdą chleba ze słoniną w drugiej. W izbie jest jeszcze parę innych młodych osób również ze szklankami w rękach. Moje pojawienie się trochę wszystkich zaskoczyło i zaniepokoiło. Po chwili jednak sytuacja wróciła do normy i delegat zaproponował odbycie zebrania. Wszystko przebiegło sprawnie i zgodnie z zasadami organizacyjnymi. Spisany został protokół, przyjęto kilkunastu nowych członków, poszerzono zarząd, sformułowano wnioski i młodzieżowa organizacja ZMP na Leszczynie od tego dnia powiększona i zmotywowana przystąpiła do pracy. Wszystko to kraśnicki delegat miał w kieszeni i mogliśmy już wracać do domu. Do Leszczyny przyjechaliśmy podwodą, ale z powrotem wracaliśmy na piechotę i to w przypadku mojego druha na „trochę gumowych” nogach. Świeże przedwieczorne powietrze spowodowało otrzeźwienie u mojego kompana i jednocześnie wywołało strach przed konsekwencjami, jeżeli ta cała impreza zostanie zgodnie z faktami komukolwiek i przez kogokolwiek ujawniona. Rozwiązałem jego obawy i późnym wieczorem wróciliśmy do Urzędowa. Tu żeśmy

się rozstali. Później nikt mnie o nic nie pytał, a myślę, że również i ów delegat nie musiał składać szczegółowego sprawozdania. Wystarczył protokół.

Wymienione przykłady, ilustrujące naszą pozaszkolną tzw. pracę społeczną, to tylko fragment tej działalności. Co to dawało? Jednoznacznej odpowiedzi nie da się udzielić, ale na pewno wzmacniało to naszą „dorosłość” i u jednostek myślących wyrabiało krytycyzm w ocenie istniejącej rzeczywistości: innej widzianej z perspektywy domu i innej z oficjalnej propagandy. Pomiedzy jednym i drugim była normalna praca szkolna, której kierunek nadawali nauczyciele i oni wprowadzali nas w tajniki wiedzy niezależnej, w miarę możliwości wolnej od zakazów i nakazów. Niech zaświadczy to jeden z przykładów. W szkole wyświetlano niekiedy filmy oświatowe i pewnego dnia oglądaliśmy, jak radziecki uczoney, bodajże prof. Pawłow, przeprowadzał doświadczenie na martwym psie, którego po iluś tam minutach ze stanu śmierci przywrócił do życia. Po tym filmie prof. Stachura zarządził powrót do klasy na lekcję matematyki. My, chcąc opóźnić powrót i doczekać przerwy, wołamy, by puszczono nam jeszcze jakąś bajkę, jak to nieraz robiono. Prof. Stachura zareagował słowami: „Mieście już jedną bajkę. Wystarczy. Do klasy!”. Dziś ta reakcja nauczyciela dla wielu nie będzie zrozumiała, ale dla mojego pokolenia była aż nadto wymowna. Trzeba było mieć wówczas odwagę, by tak zareagować, a tym samym dać uczniom impuls do myślenia w ocenie rzeczywistości. Podobne sytuacje nieraz występowały i zapadały w umysły młodzieży.

Pisząc to wspomnienie o szkole mi bliskiej, nie mogę pominąć słów, jak gdyby przesłania, jednej z moich nauczycielek, która w mym pamiętniku (były wówczas takie) wpisała: „Staszku! Jeżeli kiedyś w tęsknej zadumie przerzucasz będziesz poźółkle kartki tego pamiętnika, a przed oczyma Twej duszy przesuwają się będą, jak w kalejdoskopie, obrazy chwil miłych i szczęśliwych przeżytych w gronie rówieśniczek i rówieśników, wspomnij na chwilę i o tych, którzy kształtowali Twój umysł i charakter, którzy uczyli Cię kochać to wszystko, co jest wzniosłe, piękne i szlachetne. Józefa Wójtowicz” (cytat z pamięci, gdyż pamiętnik nie przetrwał do tego czasu).

Cóż odpowiedzieć, Pani Profesor! Pamiętam i często wspominam. Pamiętam i to, że wyraziłaś Pani życzenie, by doczesne Twe szczątki spoczęły na Cmentarzu Orłąt Lwowskich wśród tych, z którymi w swej wczesnej młodości wypadło Ci walczyć o polski Lwów. Nie dane Ci to było, Pani. Niech więc ta urzędowska ziemia, dla córek i synów której poświęciłaś część swojego życia, będzie Ci swojska i bliska, bo również ojczysta.

Patrząc na zdjęcie, widzę czas zatrzymany i wydaje się jak gdyby dzisiejszy, wczorajszy..., a to przecież sześćdziesiąt lat dzieli nas od tamtego dnia. Trawestując pytanie A. Mickiewicza, zapytam: „Gdzież wy teraz?”. Minął czerwiec 1952 r., minęły następne miesiące i lata, i dziś już nie możemy w komplecie stanąć do wspólnej fotografii. Rozproszyliśmy się po świecie jak to ziarno rozwiane przez wiatr. Gdzieśmy trafili i gdzie zapuściliśmy korzenie, i co z nas wyrosło? Nie mnie odpowiadać na to pytanie! Niech odpowiedzą ci, z którymi wypadło nam żyć i współtworzyć rzeczywistość dnia codziennego.

Na pewno jednak, jak po wszystkich poprzednich pokoleniach, pozostanie i po nas cząstka pracy wykonanej, cegiełka trwalsza od nas samych. Z biletem – przepustką urzędowskiego liceum powędrowaliśmy w nieznaną wówczas dla nas przyszłość, a dziś nieraz wracamy myślą do tamtych chwil „miłych i szczęśliwych, przeżytych w gronie rówieśniczek i rówieśników”, w czym pomaga nam FOTOGRAFIA, którą każdy z nas posiada. Tylko pojawia się refleksja, że już nie wszyscy utrwaleni na tym zdjęciu mogą wspominać..., sami bowiem stali się wspomnieniem i przeszli do wdzięcznej pamięci swych najbliższych oraz tych, z którymi wypadło im pracować i współtworzyć materialne i duchowe oblicze otaczającej rzeczywistości.

Minęło sześćdziesiąt lat. Na świeżych jeszcze w tamtym czasie powojennych zgliszczach wyrosło nowe życie, zabiły rany, wybudowano piękne nowe szkoły, sale lekcyjne w niczym nie przypominają tych naszych, nie brakuje podręczników – jest ich nadmiar – mamy nowoczesną kadrę nauczycielską. Można powiedzieć, że zmieniło się wokół nas wszystko. Ale czy naprawdę wszystko? Rośnie pokolenie, tak jak myśmy rośli, uczyli się, podejmowali trud pracy i wcielali w życie idee wszczepiane nam przez naszych nauczycieli. To jest do powtórki, którą podejmie już pokolenie naszych wnuków i prawnuków. I to jest niezmiennie.

Podsumowaniem tego wspomnienia niech będzie fragment *Pieśni* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

*Oto jest nasz dzień codzienny,
nasze małe budowanie,
trud uparty i niezmienny
nieustannie kształtowanie.*

*Słońce wschodzi i zachodzi,
drzewa kwitną, liście ronią
my strumień rzeczywistości
kształtujemy naszą dłoń.
Jesteśmy częścią w zespole,
z niego płynie nasza siła
żeby chleb leżał na stole
a pracom lampa świeciła...*

To wszystko. Myślę, że tę cząstkę nam przypadającą wykonaliśmy i wierzę, że następną wykonają nasi następcy.

PS. A na zakończenie wspomnienia ze szkolnych lat – w formie aneksu – parę słów o sobie. Po studiach w latach pięćdziesiątych na Uniwersytecie Wrocławskim roczna praca w jednej ze szkół podstawowych we Wrocławiu, następnie siedmioletnia w Technikum Chemicznym w Gorzowie Wlkp., a od 1967 r. w Mielcu, najpierw w Zespole Szkół Technicznych, następnie od 1973 r. w Szkole Budowlanej, którą od początku organizowałem i z której w 1990 r. przeszedłem na emeryturę. Mam świadomość, że ten „telegraficzny” skrót życia zawodowego nie odzwierciedla problemów, z którymi w tych kilkudziesięciu latach przyszło się zmierzyć i rozwiązywać je, ale to już odrębna historia. Nie wiem, jak potoczyły się indywidualne losy moich Koleżanek i Kolegów szkolnych, ale myślę, że były i są one podobne do moich, bo były to losy całego naszego pokolenia – pokolenia powojennego, którego dzieciństwo przypadło na czas hekatombi wojennej, młodość na trudny czas powojenny – reminiscencje we „Wspomnieniu” – dojrzałość w pracy, a często nawet w pracy od podstaw. A dziś? Emerytura, problemy dnia codziennego i... wspomnienia...

Kazimierz Bral

Ze wspomnień syna peowiaka

Jestem synem Stefana Brała – peowiaka, któremu w 1940 roku powierzono przechowywanie urzędowskiego sztandaru Polskiej Organizacji Wojskowej. Cieszę się, że ktoś zainteresował się znajdującym się dotychczas na urzędowskiej plebanii znakiem POW. A jest nim Eugeniusz Kuśmiderski – syn Wandy z Holców Kuśmiderskiej, kobiety, która m.in. haftowała ten sztandar. Urzędowski znak POW towarzyszył mojemu dzieciństwu podczas okupacji. Jego tajemnicę znał mój brat i ja. Sztandar POW był ukrywany w różnych miejscach, m.in. w suterenie domu organisty p. Franciszka Barwy, a także w mieszkaniu p. Karoliny Dzikowskiej. Schowany był w dużym kufrze z podwójnym dnem. Należy wiedzieć, że człowiekowi ukrywającemu taką historyczną pamiątkę groziło śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony okupanta.

Życzeniem mojego ojca było ujawnienie sztandaru po jego śmierci. Nastąpiło to w latach siedemdziesiątych, w niesprzyjającej sytuacji politycznej.

Przy trumnie zmarłego Stefana Brała zgromadzili się jego koledzy z POW. Występując, przekazałem zebranym

wolę ojca i rozwinąłem sztandar. Na jego widok w oczach zebranych pojawiły się łzy. Każdy z mężczyzn przyklęknął i ucałował go jak świętość. Peowiacy z Urzędowa patrzyli na sztandar, który przetrwał mroczne czasy okupacji i bardzo trudny okres po wojnie, aż po lata siedemdziesiąte.

Po pogrzebie ojca zastanawiałem się nad tym, co mam dalej uczynić z tym znakiem POW. Zamierzałem go oddać do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Ostatecznie zwróciłem się do p. prof. Ignacego Wośko i obaj zdecydowaliśmy oddać urzędowską pamiątkę pod opiekę ks. Aleksandra Bacy.

Związany emocjonalnie ze znakiem POW, czułem się niejako powołany do noszenia go podczas świąt kościelnych i narodowych, jak to było przed wojną. Nie wiedziałem, że została wykonana kopia sztandaru z 1916 r. Początkowo czułem żal z tego powodu. Gdy zamieszkałem w Kraśniku, pogodziłem się z tym, że kopię sztandaru nosi ktoś inny.